



# ODGŁOSY

ROK XIX NR 19 (961)

6 MAJA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## RYNEK

Kto ugania się za meblami musi wybrać się do „Domusa”. A domus to właśnie dom po łacinie. Domus et placens uxor, takiemu to dobrze co ma własny dom i miłą prócz tego żonkę. Oto ideał doczesnego szczęścia pieczołowicie kultywowany przez znacznych Rzymian z czasów Katona Starszego. Nie ma co, dom handlowy „Domus” przybrał chytrą nazwę. Bo jakież to dom bez szafki, półki, tapczanu i krzesła pod ścianą? Tak więc wszystkie drogi po meble wiedą do „Domusa”. Czy jednak wiedą do celu?

JAN BĄBIŃSKI

## MEBLE W CYGAŃSKIM WOZIE I PIWNICY

Widzę na bok rozrzucone ręce i słyszę pełne zadumy słowa.

— Sami już nie wiemy co się dzieje. Mebli jest więcej a równocześnie nie ma ich wcale. Z wyjątkiem „Vistuli” przedplaty na wszystkie komplety i zestawy na rok bieżący są już całkowicie wyczerpane.

— Jakże, przecież pewne zestawy do tanich nie należą na pewno. Czyżby i one zostały wykupione na pniu jak zsiadłe mleko w mlecznych barach w każdy poniedziałek po zakrapianych mocno sobotnio-niedzielnym weekendach?

Tym razem doszło mnie stłumione westchnienie.

— To jak z pędzlem do golenia i radiem do słuchania. Czy znajdzie pan gdzieś w mieście Łodzi dobry pędzel z borsuczego włosia za 350 złotych? Próźne marzenia. A tych zwykłych po 10—12 złotych sztuka zastrzeżenie. Czy znajdzie pan gdzie stereofoniczny aparat radiowy „Meluzyna” za kilkanaście tysięcy złotych? Próźny trud i daremna gonitwa. A te zwykłe aparaty po 2—3 tysiące złotych zalegają półki. To samo dzieje się z meblami. Im towar droższy, tym dłuższa się po niego ustawia kolejka. Mieliśmy w „Domusie” austriackie komplety, kanapa i dwa fotele, całość za jedyne 52 tysiące złotych. I co? Te komplety zniknęły w ciągu piętnastu minut. Dosłownie. Dziwne, ale nam handlowcom już to zaczyna działać na nerwy. Worek bez dna czy jak? Coraz więcej jest takich co mają forsę. Ten wolny pieniążek ciśnie niesamowicie na rynek.

Dalszy ciąg na str. 8

## REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## PRZEGRACĆ W ŻYRARDOWIE



## PROBLEMY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## WYGRAĆ DLA ŻYRARDOWA

Miasto fragmentami przypomina niektóre stare łódzkie ulice. Ludzie biegli w żyrardowskich problemach twierdzą, że analogie są nie tylko powierzchowne. Tkwią one w przeszłości i teraźniejszości miasta. W drugiej połowie XIX wieku żyrardowskie zakłady produkujące tkaniny lniane były największymi w Europie. Na początku XX wieku żyrardowscy włóknarze stanęli do rewolucyjnego zrywu obok włóknarzy Łodzi, robotników Warszawy i Zagłębia Dąbrowskiego. Po I wojnie światowej próbował Żyrardów wrócić do czasów pierwszej świetności. W dwadzieścia lat później wszystko trzeba było znów powtarzać, ale — na szczęście — w zupełnie innych warunkach.

1.

Ktoś powiedział, że apel pęcherza jest bardziej imperatywny do rozkazu królewskiego.

Bolesna prawda.

Aczkolwiek era królów minęła bezpowrotnie, w szczególnych okolicznościach sens tego twierdzenia nie podlega dyskusji. Broń nas, Panie, przed takimi okolicznościami...

Rozglądam się w prawo, w lewo, zagaduję wstydliwie kilka osób, wreszcie wbiegam do Urzędu Miasta, gdzie przed chwilą wkroczył z magnetofonem Lucek Włodkowski, żeby zrobić wywiad z Prezydentem.

Pytam faceta:

— Jest?

— Jest! — Brzmi odpowiedź i palec gościnnie wskazuje mi drzwi.

Otwieram i zamykam je za sobą. Chłopotanie pod nogami. To, na czym siadywać muszą nawet Prezydenci, leży roztrąskane pod ścianą. To ja wychodzę i mówię do faceta:

— Jeśli w magistracie panują takie porządki...

Luna gniewu na twarzy, a ja na ulicy. Myślę: jakie wobec tego są porządki w mieście?

Nie ma śmieciówek. Stoją za to tu i ówdzie blaszane pojemniki. Smutno patrzeć, bo przepelnione. Strażk śmieciarzy w Turcji mi się przypomina. Wiatr rozwłóczył brudy po chodnikach i jezdniach.

Dalszy ciąg na str. 5

## PLASTYKA

GUSTAW ROMANOWSKI

## MURALE CIOCI TANDETY

MURALE — czyli wielkie malowidła na zewnętrznych ścianach budowli, rozwinęli i doprowadzili do rangi stylu i szkoły udziału plastyki we współczesnej architekturze, wielcy artyści współczesnego Meksyku — Siqueiros, Rivera, Oroscio i inni. MURALE — to ogromne dzieła sztuki zdobiące architekturę z zewnątrz; pełne ekspresji i niezaprzeczalnej wartości wychowawczej, jako pomniki kultury. I właśnie owa funkcja wychowawcza przechodząca, spacerowicza, turystę i każdego właściwie obywatela przechodzącego obok murali, poprzez nową estetykę monumentalnego dzieła, niezwykle mocno angażującego się swoją treścią — a również i formą — we współczesność, a jednocześnie posiadającego ponadczasowy wymiar artystyczny — stanowi o mądrości i sile współczesnej sztuki latynoamerykańskiej. Bo nic tak dobrze, jak połączone integralnie z architekturą monumentalne malarstwo ścienne, nie przybliży przeciętnemu człowiekowi spraw wielkiej sztuki i tych treści, które ona z sobą niesie.

Niepostrzeżenie i u nas, rozwinęło się malarstwo monumentalne na pustych ścianach szczytowych nowych budynków mieszkalnych na peryferyjnych osiedlach i na odsłoniętych po wyburzeniach łysych ścianach śródmiejskich czynszówek: Nasze murale niosą jednak inne treści, niż te meksykańskie. Nie wychowują, ale reklamują. Za „Otexem” ZURT „Klao-mem”, „Poldrobem”, „Technotranssem”, „Bistorem”, „Centralem” itd., itd. Nie ucza estetyki, ale reklamują coś tam, kogoś tam, o czym na ogół większość obywateli wie i czyje adresy są w każdej książce telefonicznej, co można sprawdzić, jeśli ktoś po-

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 6

## DNI OŚWIATY KSIĄŻKI I PRASY

# JEDNO PYTANIE

W latach 1974-75 „Odgłosy” opublikowały cykl szkiców krytycznych poświęconych literaturze naszego miasta. Ta seria artykułów nosiła tytuł: „Słownik pisarzy łódzkich”. Obecnie, w związku z „Dniami Oświaty, Książki i Prasy” chcemy ten cykl kontynuować w lepszej formie. Zadając pisarzom jedno tylko pytanie spodziewamy się, że wyniki naszej ankiety zaktualizują „Słownik” i ukazać łódzkie środowisko literackie z nowej strony.

K. F.

### DLACZEGO ŻARTEM?

Odpowiada: MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN.

Nie udzielam wywiadów. No, ale widzę tu wino, więc porozmawiamy. Ludzie z poczuciem humoru powinni podchodzić do życia poważnie, co jednak nie ma nic wspólnego z tzw. wyrazem twarzy. Jak twierdzą moi przyjaciele mam zawsze smutną twarz, ale lubię żartować zwłaszcza odkąd zacząłem czytać łódzkie pismo „Karuzela”. Wierzę w jej postannictwo, ale brak chyba u nas ludzi z po-

czuciem humoru, bo nawet ludzie uprawiający satyrę maskują zazwyczaj swoją prawdziwą postawę. Jaka ona jest nie powiem nawet prywatnie, bo ściany uszy mają.

Uważam się nie bez przyczyny za poetę i może powinniśmy się tutaj zastanawiać nad naszą odpowiedzialnością za losy świata, choć z drugiej strony przypaluję się na tym, że moje wcale nie humorystyczne wiersze mają sporo pierwiastków humoru. Zawsze widziałem w ten sposób świat i to widzenie postanowiłem prze-

nieść do formy czystej. Jaka jest aforyzm czy fraszka. Sądzę, że „Łatki” i „Ukwiały”. Wolę denerwować się w tych formach, zamiast zadać komuś prawdziwy cios. Myślę także, że jeśli ludzie się bawią tymi próbami albo na chwilę popadają w zadumę, to muszą być praktyczny i opublikować je w zwartym bloku. Chodzi także o to, aby koledy zazdrości mi czytelniczego sukcesu. Sądzę też książka żartów „Łatki i ukwiały”.

Wolno, wolniutko, ale wychodzi także mój piątą tom wierszy pt. „Powrót świata”. Która z tych książek ukaże się pierwsza? Nie wiem. Tutaj już większe pole do żartów ma wydawca, choć dla mnie to sprawa poważna.

### CO DAJE FILM?

Odpowiada: WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ.

Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na tak postawione pytanie, bo jest to moja pierwsza przygoda z filmem. Może dlatego właśnie, kiedy zapropozowano mi adaptację mojej powieści „Czas pojedna, trawa porośnie” uchyliłem się od pisania scenariusza. Ale zaraz wyręczył mnie w tej roli reżyser Julian Dziedzina, a jego z kolei poeta Stanisław Grochowiak. Tej ostatniej wersji scenariusza niestety nie znam,

choć wiem, że różni się nieco od oryginału, ale skoro przetrwała się dziś nawet klasyków, nie ma chyba powodu do rozdzierania szat. Był tylko film ukazał i utrwał tę odchodzącą bezpowrotnie starą Łódź, którą ożywiłem na kartach swojej powieści. Zda się jest to troską także Juliana Dziedziny skoro wyjechał w Urzędzie Miasta Łodzi zgodę na wstrzymanie rozbierek starych gmachów czy fabryk, które posłużyła za tło.

Film jest zawsze innym dziełem sztuki niż książka stanowiąca dla niego pierwowzór, ale ekranizacja ma duży wpływ na poczynność utworu literackiego. Niby nie mogę specjalnie narzekać, bo w ciągu 7 lat ukazały się dwa wydania „Czas pojedna, trawa porośnie”, ale sukces filmu będzie zachętą dla wydawcy do kolejnego wznowienia. I to pierwsza część odpowiedzi na postawione mi pytanie.

A prócz tego film stanowi siłę jakiejś inercji — warty pisarz. Czy dla prozaika zamknięto by na parę dni ruch uliczny w centrum miasta, choćby nawet uzasadniał to potrzebą znalezienia nastroju? Mogły się na to zdobyć tylko „Czerwone cernele”. Słyszałem nawet w kręgu bliskich i dalszych znajomych: „Ale ten Rymkiewicz rozrabia”. Oto co daje pisarzowi film.

## PLASTYKA

# STEFAN JUST



Spotkanie z malarstwem Justa — w galerii wystawowej czy w atmosferze domowego wnętrza — nieodmiennie kończy się sukcesem artysty, który zyskuje w swoim widzu sympatyka. Urodzony w 1905 r. Stefan Just jest popularnym portrecistą, badaj najbardziej w łódzkim środowisku cenionym. Niezależnie od stopnia widowności odbiorcy w arka hierarchii i wartości sztuki jego dojrzałe artystycznie i warsztatowo malarstwo angażuje osobiste uczucia, wciąga widza w podwójne związki: poprzez emocjonalny kontakt z odbiciem czyżby istnienia następuje zbliżenie z artystą, który odbiciu temu nadaje także osobiste rysy, dzieli się własnym — jakże bogatszym — przeżyciem.

W ciągu 40 lat twórczej pracy zgromadził ogromną spuściznę. Okazał do jej oceny była niedawna wystawa jubileuszowa w łódzkiej Galerii Sztuki BWA. Z Łodzi Stefan Just związał się tuż po wyzwoleniu; jego modelami są zatem ludzie znani w tym środowisku: aktorzy, lekarze. Mylił się jednak ktoś, kto starał się szukać wśród portretów Justa jedynie znajomych twarzy. Są to bowiem OBRAZY w pełni tego pojęcia, obdarzone rysami składającymi się na indywidualność artysty — niezależnie od modelu.

Bliskie prawdy będzie wręczanie, że malarz kieruje się zwaną trznią urodą portretowanych, że poprzez modelowanie wlewa w twarz realizuje siebie tylko znany ideal piękna. Nigdy jednak nie przekracza owej nieuchwytnie granicy artystycznej ingerencji, poza którą model staje się już tylko tworzywem. Ten pozorny tradycjonalizm Justa ma, jak sądzę, swe źródło w jego stosunku do natury — pełnym pokory i respektu. Jest chyba sprawą ogromnej dojrzałości, wypracowanej doświadczeniem wieloletnich studiów, umiejscowienie w sobie samej konkurencyjności wobec samej rzeczywistości. Malarstwo Justa jest przeżyciem tematu nie

różniącym się w istocie od świątecznej fizycznej. Tak pojmował sztukę jeden z największych realistów XIX wieku Courbet: „Malarstwo jest sztuką z gruntu konkretną i może polegać na przedstawianiu jedynie rzeczy realnych i istniejących. Jest to język fizyczny, którego słowami są wszystkie przedmioty widoczne”.

Dzieło długiej drogi twórczej artysty osadzone jest w tradycji odwołującej się do odległych epok historycznych — renesansu, klasycyzmu. Nie jest jednak istotne, w jakim pozostaje stosunku do poszukujących nurtów sztuki współczesnej; jak odległy przedział chronologiczny i stylizacyjny dzieli realizm Justa od awangardy. Po to, by w obrębie sztuki istniała równowaga, niezbędne są punkty ciężkości na obu jej biegunach.

Ceremonialne, statyczne pozy w jakich ukazują się jego modele i modelki mają znamiona dążenia do pomnikowej klarowności. Malarz zdaje sobie zapewne sprawę, że realizuje w ten sposób odwieczną tęsknotę człowieka do zapisaania swego istnienia w trwałym kształcie, wolny od przemijania i upływu czasu. Z tego punktu widzenia nie wahałbym się nazwać twórczości Justa służbą wobec człowieka, bo przez niego artysta dostrzega sens twórczej egzystencji.

Obecność Stefana Justa w łódzkim środowisku artystycznym zdążyła się już mocno utrwalić. Myślę, że można także nazwać tę obecność szczęśliwym dla środowiska faktem. Nieprzekraczając tu granicy artystycznej ingerencji, umiejętności rezygnacji z zabiegów konkurencyjnych wobec samej rzeczywistości. Malarstwo Justa jest przeżyciem tematu nie

ANDRZEJ MAJER

## INFORMACJE

### KONGRES MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Na Kongresie Młodzieży Polskiej, który obradował w dniu 30 kwietnia br. w Warszawie spotkało się ponad dwa tysiące delegatów — przedstawicieli Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, reprezentantów młodzieży akademickiej, zrzeszonej w SZSP oraz delegatów ZHP — przodujących mandatariuszy kilkumilionowej rzeszy młodych obywateli PRL. Na Kongres była zaproszona również grupa młodzieży nie zorganizowanej. Obradom przysłużyli się przywódcy partii i państwa z I sekretarzem KC PZPR — Edwardem Gierkiem.

Kongres skierował apel do młodzieży polskiej aby swoją codzienną rzetelną pracą i nauką, swym żarliwym patriotyzmem, z energią i oddaniem tworzył pomyślną i piękną przyszłość socjalistycznej Polski — wspólnej i umiłowanej ojczyzny.

Podjęto także uchwałę kongresu oraz rezolucję solidarnościową młodzieży polskiej z postępującą młodzieżą świata. Przed Kongresem odbył się I Zjazd ZSMP, na którym reprezentanci młodzieży pracującej wszystkich środowisk i regionów kraju przyjęli statut Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i wybrali Zarząd Główny organizacji. Przewodniczącym Zarządu Głównego ZSMP został Krzysztof Trębaczewicz.

# SZTUKA I ŻYCIE

Jerzy Wawrzak

Tradycyjnie od lat odbywają się w Teatrze Wielkim przed I Mają uroczyste koncerty. Od kilku lat programy tych koncertów wypełniają amatorzy. Jest to więc widowisko o określonej wymowie, a także nieoficjalny przegląd najlepszych osiągnięć twórczości amatorów w naszym województwie.

Także i tego roku licznie zebrana publiczność, władze wojewódzkie, weterani ruchu robotniczego, kombatanek, przedstawiciele pracy, przedstawiciele zakładów pracy żywo i ciepło przyjęli występy zespołów dziecięcych, chórów szkolnych, grup baletowych, zespołów pieśni i tańca, recytatorów. Trudno z takiej okazji mówić o przeżyciu artystycznym ale widownia reagowała zyczliwie, nie szczędząc oklasków, zwłaszcza młodym wykonawcom. A już wyobrażam sobie, jak musieli przeżyć to wydarzenie sami wykonawcy programu spotykając się z tak licznym audytorium, mając do czynienia z prawdziwą, wielką techniką teatralną. Zakwalifikowanie się do koncertu majowego jest ogromnym wyróżnieniem dla każdego zespołu, bodźcem do lepszej pracy dla tych, których czeka to w przyszłości. Wysoki poziom koncertu, wdzięk, naturalność, sprawność wykonawców poświadczyły, że organizatorzy koncertu mieli z czego wybierać, że artystyczny ruch amatorski (mimo różne krakakania) rozwija się pięknie, aby sprawiać nam chwilę radości i wzruszenia.

2.

Rozpoczęły się Dni Oświaty, Kultury, Książki i Prasy. Po raz trzydziesty w ogóle, a po raz pierwszy w nowej strukturze administracyjnej kraju. Ze szczególnym więc zainteresowaniem obserwujemy ich przebieg w nowych województwach. Zaproszenie na kiermasz w dniu 2.V. do Piotrkowa było do tego dobrą okazją.

Jako pisarz na dorobku boję się i nie lubię kiermaszów, tego dość bezwzględnie rozróżniam z czytelnictwem popularności. Przez lata podpisywałem po kilka książek, przyrzekałem sobie, że już nigdy... ale znów wracałem za stolik z wizerunkiem i stosiem książek. Dopiero od roku, dwóch nie siedzę bezczynnie. Chyba podobnie przeżywa kiermasze wielu moich kolegów z młodszej i średniego pokolenia.

Do Piotrkowa jechałem także z duszą na ramieniu. W dodatku w towarzystwie tak znanych autorów jak Maciej Józef Kononowicz i Tadeusz Papier. Dopisała nam jednak pogoda, publiczność i sprawność organizatorów Oddziału Rejonowego „Ruchu”. Przez dwie godziny podpisałem wszystkie książki, jakie były w sprzedaży. Jak na pierwszy kiermasz piotrkowski nie spisałem się bardzo dobrze. Cieszył nas zwłaszcza widok młodych ludzi, dziewcząt i chłopców, którzy odchodzili od stolik oblatowani książkami.

Dni Oświaty, Książki i Prasy w woj. piotrkowskim zaplanowane zostały z rozmachem. Kiermasze książkowe z udziałem pisarzy łódzkich i z całego kraju odbędą się także w Radomsku, Opocznie, Tomaszowie. 16 maja odbędzie się w Piotrkowie spotkanie z redaktorami prasy i czasopiśm. 23.V. w Białobrzegach odbędzie się występy i seminarium, w których uczestniczyć będzie osiem teatrów amatorskich. Do tego jeszcze święto prasy w kilku gminach.

Obu im także publiczność i pogoda dopisały.

Kilka dni temu otrzymałem miły prezent. Wudany przez PWN, blisko 400-stronicowy tom: „Pamiętniki robotników warszawskich”, z odpowiednią dedykacją i autografami autorów.

Do przesyłki z aktualnym numerem kwartalnika „Pamiętnikarstwo polskie” dołączony

był list doc. dra F. Jakubczaka, sekretarza generalnego ZG TPP. List dla odmiany niezbyt miły, ale słuszny. Doc. Jakubczak ma pretensje do Cuielka za marcowy felieton w „Odgłosach”, ale dajmy spokój felietonistom. Od tego są, żeby się czeplić. Ruch pamiętnikarski w „Odgłosach” doceniamy i będziemy się starać potwierdzić to stanowisko w praktyce.

Wróćmy do książki. Obszerny tom czyta się jak najlepszą powieść, z tym szczególnym zaangażowaniem czytelnictwem wynikającym ze świadomości, że ma się do czynienia nie z autorską wyobraźnią, ale surową prawdą życia. Surowy, bo surowy i ciężki był los robotnika przed wojną, w czasie okupacji, w latach heroicznej odbudowy. Lektura każdego pamiętnika, a zwłaszcza lektura „Pamiętników robotników warszawskich”, to obcowanie z historią w ujęciu indywidualnego losu ludzkiego. To bogactwo faktów, wzbogacające wiedzę o przeszłości, ale i to najważniejsze: zapis myśli, odczuć, reakcji, klimatu czasu, to wszystko, co glinie np. w naukowej syntezie.

I tutaj wchodzimy na obszar literatury. Pamiętniki są, według mnie, literaturą, członkowie Ogólnopolskiego Warszawskiego Klubu Robotników Piszących są dla mnie pisarzami, choć nie posiadają legitymacji ZLP. Nie chcę wyróżniać nikogo z 12 autorów książki, tylko im pogratulować i podziękować, bo Wasz cenny tom mogłem w tej powodzi wydawniczej przeoczyć. Czytelnikom zaś zwrócić uwagę, że jeszcze w tym roku nakładem WL ukażą się wspomnienia z okresu powojennej Łodzi „Gorące dni, gorące lata”. Zapewniam, że będzie to lektura równie ciekawa i pożyteczna, dla wielu nawet pasjonująca. Po wydaniu tej książki będziemy chcieli zorganizować forum dyskusyjne, w celu wymiany doświadczeń między piszącymi robotnikami Warszawy i Łodzi.

4.

W ubiegłym tygodniu telewizyjny „Pegaz”, popularny magazyn kulturalny, poświęcił prawie w całości swój program kulturze Łodzi. Takich monotelematycznych programów w „Pegazie” nie było wiele i poświęcenie całego bloku naszemu miastu cieszy jako wyróżnienie powstających tu dokonań. Cieszy więc sam fakt, trochę degustując realizację zamysłu.

Autorzy nie bardzo zdaje się wiedzieli jaka przysłać koncepcję. Niby chcieli pokazać dzieła dzisiejszej i historii minionych lat. A nie wyszło ani to ani tamto. No, z rozmową z prezesem łódzkich plastików zostało zdanie, że o naszych dokonaniach warszawska prasa nie pisze. Jedyny udany fragment

audycji to kilka minut poświęcone Muzeum Sztuki. Ale to chyba za mało. Jak za wiele było miejsca na dywagacje redaktorów: Mętraka, Michalka i Toeplitza. A w ogóle przemilczano obecność w mieście łódzkiego środowiska literackiego, liczne i ciekawe inicjatywy wydawnicze itp.

Rozumiemy, że autorzy „Pegaza” nie chcą rezygnować z widownościowości tematów teatralnych i filmowych, ale w Łodzi dzieją się nie mniej interesujące rzeczy w innych środowiskach.

5.

Ciekawy, majowy numer „Kalejdoskopu”. Znaczące jednak pogorszenie poziomu edytorskiego. Papier i druk deprecjonują walory estetyczne wydawnictwa. A jest to szczególnie ważne, kiedy fotografia spełnia autonomiczną funkcję w całości. Apel więc do redakcji i mecenasów, którym jest Wydział Kultury UM, aby czytelnikom „Kalejdoskopu” nie sprawiano tego typu niespodzianek.

6.

No i trochę „życia” na zakończenie. Jeżdżę do pracy samochodem, jeżdżę, bo muszę. Jest to raczej powód do współczucia niż zazdrości, biorąc pod uwagę ciasnotę na ulicach śródmieścia. Ale cóż zrobić, człowiek musi być tu i tam w ciągu dnia. Cwiczyć więc codziennie charakter, cierpliwość, rodzaj drogowego stoicyzmu. Jednak tuż przed pierwszym maja „wyszedłem z nerwu”. Umówiony na ważne spotkanie jechałem od ul. Ogrodowej do redakcji przy ulicy Piotrkowskiej 96 — 25 minut (słownie: dwadzieścia pięć minut) mając sprawny samochód i 20 lat stażu za kierownicą. Tak jechałem tego dnia wszyscy. Denerwując się, klnąc i złorzecząc, trąbiąc wzajemnie na siebie, przeklinając bezmyślność czy złośliwość drogowców. Chciałbym wiedzieć, znać nazwisko tego geniusza, który kazał zastawić „pachołkami” na połowie jezdni cały ciąg Zachodnia — Kościuszki, powodując kilkusetmetrowe korki. Wiem, że trzeba malować „zebrzy”, odświeżać je co jakiś czas. Ale od czego jest noc! Dawno na szczęście wyszło z publicznego obiegu słowo: sobota! Ale do tej sytuacji pasuje ono jak ulał. Nie wiem czy tego dnia były korki na tej trasie, ale sytuacja wskazywała, że być powinny. Był natomiast stracony czas, wydana niepotrzebnie benzyna, zszarpane nerwy kierowców, zagrożenie bezpieczeństwa, złorzeczenia pod adresem... Właśnie, chciałbym publicznie zapytać dyrektora Wydziału Komunikacji UM Łodzi: co pan na to, panie dyrektorze!?

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JA2DZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

KRZYSZTOF POGORZELEC

# Z BUŁAWĄ W AKTÓWCE



Publiści i nie tylko oni lubią nazywać ich podoficerami produkcji. Od razu też wiadomo o kogo i o co chodzi: tak jak nie ma dobrej armii bez kaprali i sierżantów, tak przemysł — jeśli ma sprawnie funkcjonować — nie może się obejść bez własnych „podoficerów produkcji” czyli mistrzów, albo jak kto woli tradycyjnie — majstrów. W porządku — może powiecie — tak musi i powinno być, tylko skąd się wywodzi to aktualnie powszechne zainteresowanie średnią kadraj „dowodzącą” pracą w naszym przemyśle?

## DLACZEGO WŁAŚNIE ONI?

Wynika to z dosyć oczywistego faktu, a mianowicie osiągniętego już aktualnie poziomu naszej produkcji przemysłowej, potencjału i stanu wyposażenia krajowych fabryk — to z jednej strony, a z drugiej — równie klarownie zarysowującej się potrzeby rozwijania wytwórczości nie tylko w sensie ilościowym, lecz może nawet nade wszystko jakościowym, a więc coraz to doskonalszych, bardziej sprawnych, użytecznych, odpowiadających społecznym potrzebom wyrobów i to w dodatku z możliwie najpełniejszym wykorzystaniem środków jakimi dziś dysponuje polski przemysł oraz budownictwo.

Jeśli więc tylko od tej strony popatrzysz się na to ogniwo zarządzania i kierowania naszą gospodarką, jeśli uwzględni — a to trzeba koniecznie uczynić — że i na tym szczeblu „dowodzenia” produkcja występują bardzo istotne kwestie społeczne, wychowawcze trudno doprawdy przecenić rolę mistrza w tym całym złożonym procesie socjalistycznych stosunków produkcji i takich samych mechanizmów wytwarzania, gospodarowania. Ograniczę się jednak — tak na wstępie — do elementów ekonomicznych tej rozpoczętej właśnie wielkiej gry o mistrzostwo. Tak, o mistrzostwo, jako że można chyba stwierdzić, że nie tylko gwoli spolszczenia dawniej stosowanej nazwy „majstra”, zaczęliśmy stosować wobec tej grupy zawodowej określenie mistrz. To przecież coś więcej jak określenie zajmowanego w hierarchii zawodowej miejsca, to — mam przynajmniej takie wrażenie — określenie fachowych, ale również osobowych cech człowieka wypełniającego przypisaną mu prawem zawodowe obowiązki. Właśnie mistrzostwo w kierowaniu pracą, produkcją, ludźmi, w organizowaniu ich czynności. Są to więc olbrzymie obowiązki, rola do spełnienia i taka sama odpowiedzialność. W gestii mistrza w nowoczesnym zakładzie znajdują się z reguły majątek przedstawiający wartość milionów, a nierazdo — tak, tak! — miliardów złotych. Ale i ten rachunek jest w gruncie rzeczy cząstkowy. Czemu? Sami, z własnego doświadczenia, możemy odpowiedzieć na to pytanie: jak wiele zależy od jakości pracy, umiejętności mistrza kierującego zespołem podległych mu w fabryce ludzi, gdy chodzi o uzyskanie wyrobów rzeczywiście najwyższej klasy, wykorzystanie szans jakie stwarza nowoczesna technika choćby przez właściwe zorganizowanie roboty. Równocześnie można powiedzieć bez oba-

stwa, a poświęconej roli mistrzów w zakładach pracy.

Kim jest zatem mistrz pracujący w przeciętnym przedsiębiorstwie włókienniczym?

Dane statystyczne mówią, że:

- 46,3 proc. mistrzów — włóknarzy to osoby z średnim wykształceniem;
- 24,3 proc. posiada niepełne średnie wykształcenie;
- 2,5 proc. nadal może się wykształcać tylko ukończoną szkołą podstawową;
- 8,3 proc. ma za sobą nie ukończoną naukę w szkole podstawowej;
- 1,7 proc. mistrzów-włóknarzy to ludzie z dyplomami wyższych uczelni;

Warto uzupełnić jeszcze podane już fakty, o jeszcze inne, bliżej charakteryzujące tę grupę zawodową choćby przez pryzmat wieku. Wygląda to tak:

- średni wiek mistrza zatrudnionego w zakładzie włókienniczym wynosi około 45 lat;
- 20 proc. nie przekroczyła granicy 30 lat;
- reszta — to ludzie starsi, z tym, że w tej grupie 17,6 proc. mistrzów ma już więcej niż 50 lat.

W tym miejscu wypada zauważyć, że kadra mistrzowska zatrudniona w zakładach przemysłu włókienniczego odbiega niestety swoim poziomem wykształcenia jak i strukturą wieku od sytuacji, z którą mamy do czynienia w całym krajowym przemyśle. Dane statystyczne mówią bowiem, że średnio biorąc, w krajowym przemyśle ta grupa zawodowa rekrutuje się z reguły z pracowników młodych, mających 30—40 lat i równocześnie legitymujących się wykształceniem średnim zawodowym lub technicznym. Stąd też biorąc skalę kraju większość mistrzów spełnia wymagania określone taryfikatorami. 130 tysięcy osób zatrudnionych w charakterze mistrzów znajduje się w najlepszym, jeśli chodzi o wyniki produkcyjne wieku, a połowa tej kadry legitymuje się 15-letnim stażem pracy. Tylko 20 proc. pracuje w swoich zakładach mniej niż 5 lat. Jest to więc — patrząc w skali całego kraju — kadra doświadczona i ustabilizowana.

## PROPOZYCJA: EDUKACJA W BIEGU

Przytoczone tutaj dane dają powód do głębszego zastanowienia, a także wyciągnięcia pewnego wniosku. Jeśli bowiem można uznać aktualny stan posiadania kadry mistrzowskiej „średnia w kraju” jako względnie zadowalający, to w pewnych dziedzinach, szczególnie w tych, które dopiero od kilku lat wkroczyły na drogę dynamicznego rozwoju i technicznych przeobrażeń — vide przemysł lekki — trudno o czymś takim mówić.

- 75 proc. mistrzów zatrudnionych w przemyśle lekkim skłonnych jest uważać, że podstawowe źródło trudności w ich pracy tkwi w niedostatkach wiedzy, kwalifikacji i to nie tylko z dziedziny technicznych lecz głównie z zakresu metod kierowania ludźmi.

Tak. Niedawno w artykule płaora prof. dr Tadeusza Nowackiego znalazłem takie oto stwierdzenie:

„W Polsce nigdy nie było dostatecznej liczby fachowców — robotników i wysokiej klasy mistrzów swego zawodu. Stan ten pogarsza się na skutek działalności systemu szkolnego, nastawionego jednostronnie na dostarczanie narybku do studiów wyższych. Nawet ci młodzi robotnicy, którzy wybijają się w swej pracy, drogą awansu znajdują w uczczeniu do techników zawodowych. Nie staną się już nigdy mistrzami w swym zawodzie, gdyż wcześniej zostaną nie najlepszymi, prawdopodobnie, technikami. Technikom oferujemy natomiast zaoczne studia inżynierskie”.

Taki stan rzeczy jest konsekwencją nieznaności faktycznych potrzeb naszej, polskiej gospodarki, jak i też aktualnych tendencji występujących na świecie. Przekreślamy też, a co najmniej, deprecjonujemy w jakiejś mierze wartości tkwiące w praktycznych umiejętnościach — właśnie to, co reprezentuje wysoko wykwalifikowany robotnik, chce się powiedzieć — mistrz w swoim zawodzie. Nie muszę chyba jeszcze dodawać, że jest to również sprzeczne z zasadami ideowymi polityczno-społecznymi naszego ustroju.

Do czego ta sytuacja prowadzi?

No cóż — cytując opinię wyrażoną przez „Trybunę Ludu” — do tego, że „przy rezygnacji w braku wykwalifikowanych fachowców w rolnictwie, przemyśle, usługach, następuje dalsza erozja tej grupy pracowników, którzy takie kwalifikacje posiadają”. Wynika to z tego, że droga awansu zawodowego zbyt sztywno łączona jest z „dyplomem”, że pojęcie mistrz w wiązance jest z posiadaniem bądź nieposiadaniem określonego papierka, jest niejako jego funkcją, kategorią administracyjną, a nie zawsze łączy się z rzeczywistymi kwalifikacjami, właśnie

owym mistrzostwem w zawodzie.

Ktoś może mi zarzucić, że tak pojmując rolę mistrza, albo jak mówią jeszcze niektórzy — „majstra”, tworzę bariery przed społecznym awansem tych ludzi, utrudniam im sięganie po naukowy cenzus...

Alóż nie! Po prostu — a w tym przekonaniu nie jestem chyba odosobniony — uważam, że nasza krajowa gospodarka nie potrzebuje samych magistrów czy inżynierów. A ponadto — znowu przytoczę opinię znawcy tego problemu, prof. dr T. Nowackiego:

„pogłębienie kwalifikacji zawodowych poszczególnych grup pracowników można prowadzić przez całe życie. Odpowiednio zorganizowane systemy doskonalenia umiejętności pracowników mogą każdą grupę pracowników prowadzić aż na poziom najwyższy samokształcenia i twórczości. Tylko pod warunkiem skonstruowania takich systemów przywrócić godność pracownikom. Nie tylko bowiem profesor w szkole wyższej czy koncertujący artysta, lecz każdy tokarz i każdy stolarz powinien mieć takie samo uznanie, jakie mają twórcy, gdy osiągną najwyższy poziom tych umiejętności. Ze stanowiska gospodarki, inżynier naczelny w hucie jest tak samo potrzebny, jak elektryk naprawiający złącza, jak kierownik wywozący odpady. Ich wartość zależy nie tyle od rodzaju wykonywanych czynności, ile od poziomu, na jakim te czynności wykonują, od jakości ich roboty. A my właśnie nie dajmy o jakości roboty szlifierzy, monterów i tysięcy innych, nie stwarzając racjonalnego systemu doskonalenia zawodowego”.

Byłaby to niejako edukacja w biegu, a może też odnalezienie zgubionych w jakimś miejscu, po drodze, nieprzemijających wartości. Wzoru dobrej pracy i fachowości jako ostatecznego kryterium. A ponadto, czy nie uważacie, że takie potraktowanie tej sprawy otwiera zupełnie nowe możliwości życiowego awansu przed ludźmi, którzy dziś czują się upośledzeni, niepełnowartościowi z tej racji, że nie mają matury? Sądzę, że stworzenie odpowiednio pomyślanego, stopniowego systemu kształcenia zawodowego, którego celem byłoby nie funkcja w hierarchii administracyjnej, lecz poziom fachowości, wszystko to podbudowane odpowiednią polityką kształtowania plac — byłoby taką szansą, właśnie — perspektywą.

## KOCHAJMY MISTRZA

Takie praktyczne kroki w tym kierunku zostały zresztą już w pewnym stopniu poczynione. Przypomnijmy, że tzw. Karta Praw Mistrza nakłada na niego określone obowiązki, a z drugiej daje mu rozliczne i ważne uprawnienia choćby przedstawiania wniosków o premie i nagrody, przeszerzowania pracownikom do wyższych kategorii, składania wniosków o udzielenie kary, uczestnictwa w przygotowaniu planów, terminów wykonania zadań, sposobu ich realizacji. Stworzono wreszcie zachętę dla zawodowego doskonalenia wprowadzając zgodnie z postanowieniami VII Zjazdu PZPR tytuł „mistrza dyplomowanego” z czym dla osoby posiadającej takie miano łączy się stały dodatek do wynagrodzenia w wysokości od 500 do 1000 złotych miesięcznie.

No i tak powinno być.

Nie znaczy to chyba jeszcze, że już wszystko zrobiliśmy, by słowo mistrz jaśniało rzeczywistością pełnym blaskiem, a praca podoficerów produkcji przynosiła oczekiwany i potrzebny profil całej gospodarce, społeczeństwu. W latach 1972—1975 dokonano w zakładach przemysłu włókienniczego dosyć rozległe badania mające na celu ustalenie czynników, które utrudniają mistrzom skuteczne kierowanie podległymi im zespołami pracowniczymi. Na tej podstawie stwierdzono, że kolejne miejsca w tabeli zajmują:

- niedostatek materiałów w określonym terminie — 90 proc. za-pytanych;
- trudności kadrowe — 70 proc. biorących udział w ankiecie;
- kolejne miejsca w drabnie trudności zajęły — absencja personelu, brak w planowaniu operatywnym, niesprawne urządzenia, wykonywanie prac należących do innych komórek organizacyjnych.

Nie lekceważąc pozostałych przyczyn kłopotów mistrzów chciałbym zwrócić uwagę na ostatnią, ale chyba nie najmniej ważną pozycję: 54 proc. mistrzów uważa, iż wykonuje prace, które znajdują się w gestii innych komórek organizacyjnych, a im pochłaniają czas nominalnie przeznaczony na operatywne kierowanie produkcją. Zastanawiać powinny jeszcze inne opinie średniego personelu kierowniczego naszych fabryk, takie jak choćby to, że mistrzowie ani jednej fabryki objętej badaniami nie uważali iż są należycie poinformowani z odpowiednim wyprzedzeniem w czasie. „A nam — powiedział jeden z nich — potrzebne jest takie wsparcie nie tylko dla własnego autorytetu, lecz także po to, byśmy mogli odpowiednio zareagować, pokierować pracą, jej organizacją, dokonując zmian w biegu, bez mitręgi!”.

Tak więc — czy rzeczywiście pokochaliśmy mistrza? W każdym razie iż zaczynamy rozumieć jego potrzeby.

„Historik wobec historii” — pod takim tytułem zebrał Stanisław Irawowski drobne, nieznane pisma swego, a po trosze i nas wszystkich Profesora — Tadeusza Manteuffla (PWN 1976). Tytuł dobrze oddaje treść tomu: prócz tekstów, wyrosłych z badań T. Manteuffla nad dziejami ustroju, ideologii oraz średnio-wiecznej Słowiańszczyzny, będących świadectwem wysiłków źródłowo-konceptualnych Uczonego, znalazły się tu pisma, świadczące o stosunku ich Autora do najogólniejszych, a zarazem najbardziej podstawowych zagadnień nauki historycznej. A chodzi o sprawy nie tyle jakiegoś znaczenia; o normy postępowania historyka, jego zawodową etykę, o odpowiedzialność historyka, o jego rolę w życiu społecznym.

Niewielkie to, ale głęboko przemyślane teksty, wyrosłe z refleksji nad rzeczywistością nie tylko naszego współczesnego naukowego życia. Są to pisma, zaswiadczone zarówno o postawie wybitnego Historyka, jak i o niepokojach i dylematach jego czasu. Jest w nich troska o prawdę w historii, a jednocześnie świadomość trudności, pierzających się na drodze do jej zgłębienia. Jest troska i niepokój, wyważona krytyka procesów i zjawisk składających się na hamulec historycznego poznania, jednocześnie zaś refleksja nad jego symulatorami. Jest wreszcie głębokie, tak charakterystyczne dla Uczonego, poczucie odpowiedzialności za słowo, świadomość jego znaczenia.

T. Manteuffel nie przyznaje historii roli prokuratorowskiej, zwłaszcza „w stosunku do siebie współczesnych”, domaga się jednak od niej bezwzględnej ciużenia prawdy. Na pytanie, czy nie aktualizujące się w życiu społecznym: „czy wolno nam dla uzyskania jasniejszego obrazu własnej przeszłości przekreślać lub zgolić zatając wszystkim znane fakty?” odpowiada jednoznacznie. Nawet, kiedy chodzi o fakty nieznane, a to w głębokim przekonaniu, że najgorszą przysługą, jaką można wyrazić własnemu społeczeństwu, jest przedstawienie przez historyka rzeczywistości w sposób niezgodny z prawdą. Świadomy różnorodnych trudności, przede wszystkim natury społecznej (a niejednokrotnie i politycznej), Uczony docho-dził do rozważań o względności historycznego poznania. Mówił więc pod koniec życia w jednym z wywiadów prasowych:

„Jeżeli ktoś utrzymuje, że historia nie jest nauką taką, jak nauki przyrodnicze, to oczywiście ma słusność. Tylko, że nie wynika wcale z tego wniosek, iż z tej racji jest status społeczny staje się „podejrzanym”. Osobiście sądzę, że historia, wbrew nadziejom niektórych historyków, jest nauką, w której nieuchronny jest pewien rodzaj relatywizmu. Nie dojdziemy nigdy do poznania, nawet w odniesieniu do najbardziej zamierzalnej przeszłości, które byłoby tak jednoznaczne i niepodważalne, aby można było założyć, iż wiada, którą posiadamy, nie ulegnie już zmianie”.

Czyż jednak tego rodzaju poznanie „ostateczne”, jest przywilejem jakiegokolwiek dyscypliny naukowej? Specjaliści od nauk, na których historycy znają się z reguły najgorzej, ścisłych i przyrodniczych, będą w tej sprawie mieli wiele do powiedzenia.

Książka „Historik wobec historii” jest świadectwem zmagania Uczonego z barierami historycznego poznania. Nie tylko tymi, które wynikają z niedostatków historycznego warsztatu badawczego, z niedomagania owego „szkiełka i oka”, które nauka historyczna stale doskonali. Jeżeli doskonała, to znaczy, że jest to możliwe; jeżeli zaś coś się mellowuje, to znaczy, że było na tyle niedostateczne, że je trzeba było ulepszyć. T. Manteuffel jako człowiek uczestniczący najczelniej w życiu nauki polskiej, zajmujący w naszej hierarchii naukowej szczególnie wysoką pozycję, lepiej niż ktokolwiek inny znał obiektywne i subiektywne warunki jej rozwoju, uświadomił sobie potrzebę przewyższenia tych hamulec rozwoju poznania historycznego, który kształtuje się w życiu społecznym. Pod tym względem szczególnie cennym świadectwem są ostatnie dwa teksty Autora, mianowicie „Zapiski do wspomnień” oraz „Warunki rozwoju nauki historycznej w dziesięciolecie 1948—1958”. Pierwszy z nich, to obszerny fragment pamiętników Autora, pisanych w latach 1967—1970, w obejmujący okres od sierpnia 1939 r. do roku 1955. Drugi to słowny niedykt, nigdy dotychczas nie publikowany, referat wygłoszony przez T. Manteuffla na VIII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Krakowie w 1958 r., wystąpienie, którego krytyczna wymowa była swego czasu dla wielu tak szokująca, że... referat nie został wydrukowany. Spoglądamy dziś na ten tekst innymi oczyma, niż niedykt.

Odczytujemy go w odmiennej atmosferze, nie sprzyjającej plenienu się dogmatyzmu. Nie szokuje on nas, nie bulwersuje i chyba lepiej niż dawniej rozumiemy intencje jego Autora. Chodziło mu nie tylko, a nawet nie tyle o wetknięcie kija w mrowisko, o powiedzenie, co myśli o poszczególnych inicjatywach i ówczesnych dogmatach. Chodziło o coś więcej; o pokazanie, że to co jest trwałym dorobkiem naszej nauki historycznej, zrodziło się nie z koniunkturalizmu, ale z rzetelnej naukowej roboty. Nie zawsze złoło co się święci, nie zawsze najlepsze, to co schlebła wymaganiom chwili. Nie ulęga wątpliwości, że nasza współczesna marksistowska nauka historyczna, cieszona się znaczącym uznaniem na arenie międzynarodowej, nie zajmowałaby dziś tegoż pozycji, gdyby nie zostały przewyższone szkodliwe zjawiska i procesy, o których mówił w 1958 r. T. Manteuffel. I tak chyba należy spojrzeć na ten tekst, zamykający ostatnią książkę zmarłego przed laty Uczonego, książkę będącą doprawdy świadectwem historyka o niepokojach własnych i jego czasu.

LEKTOR

## RUSTEM KUTUJ



Na cmentarzu żołnierskim w Zgierzu  
pod Łodzią leży mój ojciec.

W tej wierzbie dusza dziewczęca.  
Na zgierskim cmentarzu

wierzba płacząca,

Łzy roni,  
Kształtne ręce na płytach spleta.  
Ileż tych rąk —  
Aż je trudno spleść wszystkie

wierzbom rozmodlonym.

Czyżś, śmierci, naprawdę mocą nie zwalczoną?  
Wiatr łzy porywa w locie — schyłek lata.  
Wiatr — swawolnik wesoly jak młodzik.  
Harcerze przybywają z bliskiej Łodzi.  
Ich zielone jak trawa bluzki,  
Ich czerwone jak stróżki krwi chustki,  
W rękę zastępowego piłka futbolowa.  
Postoją. Pomilczą... Odejdą,  
By piłkę kopać,  
Mięśnie wyrabiać, ciało hartować.  
Dać im słońce —  
Oni i słońce nauczyliby wbić gole.  
Dać im wierzbę —  
Oni i wierzbę nauczyliby grać w zespole.  
Ale z wąskich oczu wierzby łzy ciekną.  
Ptasi koncertmistrz zachłystuje się śpiewem.  
Czemu ty, wierzbo?  
Czemu?  
Sny zielone dłonie twoje przędą,  
Gdy malcy za piłką biegną.  
Te sny do mnie jeszcze tej nocy przybędą.  
Sny lotne.  
Ileż wy tu, wierzby rąk załamujecie?  
— Bo tu mnóstwo mogił — tłumaczą wierzby  
I zielone łzy ronią na płyty  
Wierzby płaczące.  
1968

Przełożył:  
TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Adel Kutuj, jeden z najwybitniejszych poetów i prozaików tatarskich z Tatarskiej ASRR, działacz oświatowy i naukowiec, w latach wojny narodowej wstąpił na ochotnika do armii. Przeszedł szlak bojowy od Stalingradu po Łódź. W styczniu 1945, śmiertelnie ranny w walkach o wyzwolenie Łodzi, zmarł niebawem w lazarecie wojskowym w Zgierzu i tam został pochowany, w kwatrze żołnierzy radzieckich. Rustem Kutuj jest znanym współczesnym poetą radzieckim średniego pokolenia. Kilkakrotnie przejeżdżał tu do miejsc, związanych z ostatnim bojem ojca i ostatnimi chwilami jego życia. Do noty tej można by jeszcze dodać, że grób Kutuja w Zgierzu odnalazł — ściślej, zidentyfikował personalia podane na tablicy żołnierskiej z nazwiskiem wybitnego twórcy — w 1966 r. Wasyl Kocznow, poeta i tłumacz radziecki mieszkający od wielu lat w Łodzi. O odkryciu zawiadomiłem niezwłocznie opinię łódzką w „Odgłosach” i „Głosie Robotniczym”, przekładając jednocześnie za pośrednictwem przekładów rosyjskich wiersz żołnierski i fragment prozy Kutuja. Oddział Łódzki ZLP przejął opiekę nad grobem poety-żołnierza.



Martin Müller należy do starszego pokolenia pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Urodzony w 1916 roku w Nakle nad Notecią wyemigrował z rodzicami do Niemiec. Po ukończeniu gimnazjum w Schwerinie i po studiach ekonomicznych uzyskał wykształcenie w dziedzinie bankowości. Z czasem poświęcił się jednak zawodowi nauczyciela, obejmując w 1947 roku stanowisko docenta w Szkole Inżynierskiej w Wismarze. Przejściowo zajmował się prowadzeniem gospodarstwa rolnego nie przerywając jednakże pracy zawodowej i pisarskiej. W 1957 roku ukazała się jego pierwsza powieść „Zwölfender” — utwór rozrachunkowy z niemieckim militarystycznym. Praca na roli stała się inspiracją do napisania następnej powieści „Frühling wird es in Seestücken” (1961) ukazującej przemiany na wsi meklemburskiej. W tym samym roku pisarz odbywa podróż do Indii, Burmy i Wielkiej Brytanii. Owocem tej podróży stała się wydana w 1965 roku książka „Landgang in Madras und Rangun”. W następnych latach Martin Müller powrócił do tematyki drugiej wojny światowej. W rękopisie znajduje się obecnie powieść „Johannes Peerbork” o której autor mówi: W swojej nowej książce staram się jeszcze obszerniej udowodnić niż to miało miejsce w powieściach „Zwölfender” i „Frühling wird es in Seestücken”, że nasze narody mogą być nie tylko dobrymi sąsiadami lecz i przyjaciółmi, którzy pomagają sobie wzajemnie w potrzebie. Dwaj marynarze, Niemiec i Polak, ludzie, którzy zgodnie z życzeniem faszystowskiego rządu niemieckiego winni być śmiertelnymi wrogami, stają się w obliczu nadchodzącej wojny przyjaciółmi. Ich przyjaźń pomaga im dojść do wsłonecznych wiosków, których konsekwencją jest aktywny udział w walce z faszystami i imperializmem (imperializmem faszystowskim). Pod koniec powieści Niemiec nie jest już bezsilnym pacyfistą bez odczynu który nie chce mieć nic do czynienia z hitlerowcami a Polak bezdomnym emigrantem, którego ojczyznę zajęli i rozgrabili faszysty niemieccy. Obaj stali się silnymi ludźmi skłonniymi poświęcić wszystko walce o wolność i prawa ucieszonych narodów”. Poniżej przytaczamy fragment powieści.

## MARTIN MÜLLER

# LIST Z POLSKI

W przerwie poobiedniej — byliśmy mniej więcej na wysokości Półwyspu Synajskiego — Jim przyszedł do mnie na pokład łodziowy, gdzie przeżywałem chętnie w wolnych chwilach. Mogłem stąd w spokoju ducha patrzeć w morze, podczas gdy moi koleżdy chowali się przed palącym słońcem. Słońce i upał nigdy mi nie przeszkadzały.

Jim usiadł obok mnie. Potrzebowałem dzisiaj jeszcze więcej czasu niż zazwyczaj, aby wreszcie wygodnie się usadowić. Widać było, że coś go dręczy. Z początku nie odzywał się przez dłuższą chwilę, co było w jego zwyczaju, potem przesunął nogi w nowe położenie i wreszcie wyciągnął z kieszeni list.

— Brat do mnie napisał.  
— Hm!  
— Chcesz przeczytać? — spytał i podsunął mi list.

— Hm! — spojrzałem na list napisany w nieznanym mi języku.  
— Racja, nie znasz polskiego. Niepotrzebnie zmarnował ojciec pieniądze na twoje szkoły.

— Ano tak — odpowiedziałem. Normalnie zacząłbym się teraz przekomarzać, ale coś mnie powstrzymało. Mogłem po nim poznać, że nie było mu do śmiechu, chociaż usiłował robić takie wrażenie.

— Wobec tego muszę ci przetłumaczyć na angielski. A więc, początek cię nie zainteresuje, ale tutaj: „Sytuacja polityczna staje się z dnia na dzień groźniejsza. Gazety podają, że Niemcy kierują dużo wojska do Prus Wschodnich. Także wzdłuż naszej zachodniej granicy podobno się koncentrują. Ale nie wierzę, żeby miało do czegoś dojść. Hitler nie odważy się nas zaatakować, bo mamy przecież traktat z Anglią i Francją. Niektórzy boją się, że z Polską może pójść jak z Czechosłowacją, ale wtedy Tommies nie byli jeszcze przygotowani. Hitler wie o tym równie dobrze, jak każde dziecko w Polsce. A jeżeli nawet Hitler zaryzykuje i nas ruszy, to cała Polska się podniesie. Ksiądz Matuzewski powiedział w zeszłą niedzielę na kazaniu: „Bóg jest ze sprawiedliwymi, bo sam jest sprawiedli-

wy, a kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.” U nas panuje wspaniały nastrój. Wszyscy stali się patriotami, nawet stary Kumikowski, który nigdy przedtem nie mógł zapomnieć, że kiedyś był pruskim sierżantem.”

Jim przesunął w zakłopotaniu palcami po papierze. — A to ci chyba nie przypadnie do gustu! — rzekł, po czym zwinął list, by wsunąć go na powrót do kieszeni.

— Czytaj dalej — zażądałem. — Wiesz przecież, co myślę o wojnie i tym wszystkim!

Jim czytał dalej, zapewniwszy mnie jeszcze raz solennie, że nie chce mi dokuczyć lecz tylko usłyszeć moje zdanie: „Niestety, są także inni, którzy czekali na wojnę, a teraz wierzą, że ich pszenica lepiej wzejdzie pod słońcem Hitlera. Ci nazwali się ostatnio Volksdeutsche i mocno gardują na swoich zebraniach. Ksiądz dobrodziej mówi, że ci są najbardziej podstępni, bo wzięli co najlepsze od Polski, a teraz wbijają nam nóż w plecy. Krolnicki, wiesz, ten komunist, co za Pilsudskiego siedział rok za zdradę stanu, trzyma teraz z nami, ale mu nie ufamy. Mówi, że Volksdeutsche są tylko podżegani przez wroga klasowego. Szkoda, że ciebie tutaj nie ma. Chociaż matka z tego się bardzo cieszy, ponieważ bardzo się boi wojny z Niemcami. Ciągłe płacze i widzi nas już wszystkich martwych. Żal jej nawet niemieckich żołnierzy, których ot tak sobie wysłała na wojnę. Wiesz zresztą, jaka ona jest. Zawsze mówi: „Po każdym zabitym płacze jakaś matka.” A ja uważam, że lepiej tysiąc Niemców niż jeden Polak!

Jeżeli ci się uda, to wracaj prędko do domu, żebyś był przy tym, gdyby coś się zaczęło. Ale nie mów matce, że ci o tym napisałem, bo ona jest temu przeciwna!”

Zamilkł. Schował troskliwie list do kieszeni i spojrzał na mnie pytająco.

— Co o tym myślisz?  
— A co mam myśleć? Jeżeli chcesz do domu, to najlepiej było wysiąść w Suezie.

— Do domu? Ja? Nieee... Słyszałeś przecież, eo o tym sądzi moja matka.

— A co właściwie chcesz usłyszeć ode mnie? Czy mam ci powiedzieć, że twój brat ma rację? Ze wszyscy Niemcy są podlecami, których trzeba wyteplić? Albo mam ci po prostu powiedzieć: Nie będzie wojny. Sam nie wiem nic więcej i tyle mnie ta wojna obchodzi, co ciebie. Sam żadnej nie prowadzę, a innym nie mogę zabronić. Ostatni raz byłem prawie trzy lata temu w Niemczech. A jak ci się zdaje, dlaczego nie wracam do domu, co?

Jim dukał w uchu palcem wskazującym lewej ręki, co oznaczało, że się głęboko nad czymś zastanawiał.

— Twoi ziomkowie na pewno cię za to nie pochwalą — rzekł.

— Zgadza się, ale ja też mam im to i owo do zarzucenia.

Jim, który właściwie nazywał się, Władysław Tomczyński, dowiódł teraz, że umie sprawnie myśleć i chce pozostać moim przyjacielem:

— Przeczytałem ci to wszystko, żeby ci ułatwić decyzję.

— Jaką decyzję? — spytałem.

— Przejścia na inną łajbę. Jak zawiniemy do Port Sudan będziesz miał może okazję znaleźć inny statek. Jakś spod taniej bandery, albo amerykańskiej.

— Chcesz się mnie pozbyć?  
— Nieee... Myślałem, że możemy obaj spakować nasze kłopoty. Stary jakoś się zgodzi. Kiedy już się to wszystko zacznie i tak będzie musiał cię odstawić, co nie należy do przyjemności.

Nie zrozumiałem go, więc wyjaśniał dalej.

— Nie zapominaj, że Polska zawarła traktat z merry old England. Kiedy wy Niemcy, chciałem powiedzieć, kiedy hitlerowcy zaatakują Polskę, będziesz internowany. To pewne, jak amen w pacierzu.

Przyznaję, że o tym jeszcze nie pomyślałem. Jim ciągnął dalej:

— Marten już na to czeka.  
— Mówił ci?

— A jakże. Wcale się z tym nie kryje. Jepperson proponował cię na wachtowego. Rozmawiał już o tym z Clyde, ale Clyde mu opowiedział, co mówi Marten. Wszystko pozostaje więc po staremu. Będziesz machał pędzlem do wypowiedzenia wojny.

— Nie wierzę, żeby miała wybuchnąć wojna. Z powodu Austrii i Czechosłowacji też wojny nie było. Twój brat ma chyba rację. Hitlerowcy spróbują polknąć Polskę po cichu, a jak napotkają na poważniejszy opór, zrobią wielkie manewry z masą żołnierzy i chrzestem czołgów. Na koniec odstawią i tak swoje graty do garażu. Jim, człowieku, kto mógłby się dzisiaj ważyć na rozpoczęcie prawdziwej wojny z działami i samolotami!

Zamiast odpowiedzi Jim wyciągnął ze swojej niezgrabnej kieszeni artykuł wycięty z gazety.

— Trzymaj! Leżał na twojej koi, już podkreślony na czerwono, chyba przeznaczony dla ciebie. Od kogo, sam nie wiem.

Artykuł był utrzymany w agresywnym tonie. Autor domagał się wojny na dwa fronty przeciwko Niemcom, zanim będzie za późno: „Niemcy faszystowskie — to oznacza wojnę!” Nie wydało mi się to przesadzone. Podobnie mawiał dziadek, a i palacz Tom określili to ostatnio lakonicznie:

„Ci nie dadzą spokoju dopóki nie wywołają strzelaniny.”

Przełożył:  
STANISŁAW HIBNER

# PRZEGRAC W ŻYRARDOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

2.

Zrobiłem już trzy wywiady. Teraz zatrzymuję młodego człowieka i robię czwartą. Ten młody człowiek, podobnie jak trzej poprzedni młodzi ludzie, mieszka poza Żyrardowem i dojeżdża tu tylko do pracy. „Len” jest ogromnym zakładem: blisko sześć tysięcy osób zatrudnia — jedna trzecia rekrutuje się z pobliskich miasteczek i wsi. Robotę znaleźć łatwiej niż spluć. Może dlatego nie wszyscy ją szanują. Żulia woli rozrabiać niż stać przy krosnach. Wczorzy nie-spokojne...

— A dzień?  
— W dzień to oni okupują „Kasyno” i „Mila”. W „Kasynie” są automaty hazardowe...  
— Otwarte już to „Kasyno”?  
— Otwarte.

Idę tam. Przygotowuję czterdzieli złotych, żeby przegrać w Żyrardowie. Wchodzę do Domu Kultury, którego lewe skrzydło stanowi jedno z dwu kin w trzydziestotysięcznym mieście. Piękna to sala, z balkonami... Piękny także afisz za szkłem informacyjno-reklamowej tablicy: REMONT.  
— Pan do kogo? — wypytuje mnie grzecznie działacz kultury.

Mówię.  
— Wejście jest z drugiej strony. Obchodzę budynek.  
Zderzam się z zaryglowanymi drzwiami, nad którymi wisi kawał tektury. Ni to obraz ni szyld: coś jakby Hiszpan (bokobrody, wąsik) i dwie roznieglizowane dziwki. Tekst: ZJEDNOCZONE PRZEDSIĘBIORSTWA ROZRYWKOWE JUBILEE, JUBILEE! SALON GIER AUTOMATYCZNYCH

MAX!  
CZYNNY OD 10.30 DO 21.30  
Należ nabazgrolił ktoś na kartce: „DZISIAJ OTWIERAMY O 14.00”  
Żeby uniknąć nieporozumień: DZISIAJ to jest 8.04.1976. CZWARTEK, GODZINA 11.30.  
Opuszczam okolicę Kasyna, które przez jedną ścianę graniczy z Domem Kultury a przez drugą ze Szkołą Podstawową im. Staszica. Tuż obok stoi piękny, neogotycki kościół.  
Idę do „Milej”, pod którą tkwi grupa podciętych wałkon. Wymijam ich

ostrożnie. Szarpie drzwiami. Zamknięte. Ktoś nabazgrolił na kartce: „DZISIAJ OTWIERAMY o 13.00”. Kilkadziesiąt kroków i staję przed wejściem do BARU SAMOOBSŁUGOWEGO. Zapażane szyby, przez które widać stertę zdemolowanych stolików. Nie wiadomo: REMONT? AWARIA? LIKWIDACJA?... Zamknięty bez żadnego ostrzeżenia.

Gdzie zatem szukać tych, co rozrabiają o zmroku? Błądzą brudnymi uliczkami. Oko moje zatrzymuje się na komplecie pięknych, kryształowych szklanek wystawionych na widok publiczny przez sklep Argedu. Jest to reprezentacyjny sklep przy reprezentacyjnej ulicy, ale kiedy wszedłem do środka, okazało się, że stoisko ze szkłem jest chwilowo nieczynne.

Chciałem schronić się trochę przed wiatrem w księgarni, ale ją akurat zamykali.

Wtargnąłem do szaszlykarni, gdzie dwa pojemniki na odpadki dawno już osiągnęły punkt krytyczny i resztki wałaly się na podłodze.

— Herbaty chciałem się napić — powiadam.

Gość kiwnął na słońca, był okrutny, i rzucił krótko:

— Piwo.  
— A może gdzieś w pobliżu...  
— W „Milej”.  
— Zamknięta.  
— No to nie ma.

Spotykam kolegę Konrada Frejdlcha, który w towarzystwie osobistości oficjalnych zmierza do Zakładowego Obiektu. Żyrardowianin, sympatyczny mężczyzna, przykłada rękę do serca i mówi:

— Darujcie sobie tutaj obiad, kochani. Co ja wam będę opowiadał... No, nie jest dobrze!...

Mam na końcu języka: Do diabła, muszę napić się czegoś gorącego. Powstrzymuję się w ostatniej chwili.

Zbliża się 13.00. Zaraz otworzą „Mila”. Będę mógł nie tylko coś wypić, ale obejrzeć sobie przy okazji to szmerne towarzystwo. Idę tam krok za krokiem ulicą 1 Maja. Dziwna to ulica... Parokrotnie samochody otearają się o polę mojego płaszcza, bo jeżdżą od symbolicznego chodnika oddziela tylko wymalowany wapnem pas. Jak ktoś nie zna Żyrardowa, to może bez trudu znaleźć się pod kołami.

— Panie — zaczepiam przechodnia. — Jak tak można?...

— Ale jakoś nie ma wypadków — uspokaja mnie gość.

— Słowem, wszystko w porządku?

— Eeee, tego nie powiedziałem. Niektóre rzeczy robią człowiekowi w nerwach.

— Na przykład?

— Był pan na ulicy Piotra Wysockiego?

— A co tam jest?

— O to chodzi, że nie. W tamtym roku latem ją rozrzebali i tak stoi — ani przejść nie można, ani przejechać.

Prawdę powiedział ten gość. Ale nim sprawdziłem, że powiedział prawdę, punktualnie o 13.00 stanąłem przed drzwiami kawiarni „Mila” i niedowierzając własnym oczom przeczytałem, że kawiarnia otwarta będzie nie o 13.00 — godzina została przekreślona — a o 14.00!

W tym momencie poczułem do miasta złość.

Na frontonie walącego się domku ujrzałem piękną, dumnie brzmiającą wieszak SEKCJA PRASY — RUCH. Pomyślałem: wejdę, dowiem się czegoś. Ale w środku był tylko gruz na schodach i jakieś dziwne komórki.

O drugiej przypomniałem sobie „SALON GIER AUTOMATYCZNYCH — JUBILEE, JUBILEE!” Ruszyłem z kopyta, jednakże ponownie zderzyłem się z zaryglowanymi drzwiami.

Wróciłem do „Milej”, pod którą czekała już na mnie reszta „Odgłosów” reporterów. Na zegarku 14.20, a oszklone wrota w dalszym ciągu zamknięte. Wtedy nie wytrzymałem i zacząłem walić w nie pięścią.

3.

Żyrardów nie jest miastem pozbawionym uruku. Nie ma tu wprawdzie nadzwyczajnych pamiatek historycznych, ale jest za to silna tradycja rewolucyjna, wyczuwalna pośród tych kamieniczek z czerwonej cegły, na podwórkach wybrukowanych kociami łbami, gdzie trzepocze pranie i wietrzą się pierzyny. Wchodzę na jedno z tych podwórek przy ulicy Buracha Szulmana — można kreć film nie wydające milionów na dekorację: tak była w 1905 roku; ściany nie ruszone ręką murarza, obyczaj, których nie zmienił czas, enklawa, która winna



Foto: W. Parys

być skansenem, a jest siedliskiem ludzi żyjących.

Mówi się, że ubóstwo nie hańbi, ale — z drugiej strony — nie ma się także czym chwalić. W dzisiejszej, zamożnej, socjalistycznej Polsce, dużo mniejsze do Żyrardowa miasta do pracowały się niebagatelnych osiągnięć — szkół, basenów, stadionów, hoteli. W wielu tych miastach wzdycha się: „Żebyśmy mieli jeszcze przemysł”. Żyrardów jest uprzywilejowany. Ma ten przemysł. WIELKI PRZEMYSŁ. Aż dziw, że nie nadaża za NIM kultura życia codziennego, że dyscyplina, jaka obowiązuje w dużym zakładzie produkcyjnym, nie udziela się innym placówkom w mieście, że nie ma tutaj ani jednego znanego zespołu artystycznego czy sportowego, że drzemie inicjatywa społeczna, bez której nawet przy najlepszych warunkach nie sposób przeobrazić aglomeracji w nowoczesny ośrodek.

Wszystko zależy od ludzkich ambicji. Czemu żyrardowianie są tacy bierni? Nie zależy im? Dobrze się czują w atmosferze zastój i rezygnacji? To, że powstało kilka nowych sklepów i osiedli blokowych, nie jest jeszcze żadnym sukcesem. Każda nowa inwestycja powinna być społecznie zdyskontowana. Państwo buduje domy, ludzie sadzą kwiaty. Państwo funduje Dom Kultury, człowiek zaczyna rozwijać w nim swoją osobowość. Jeśli stadion — to musi być sport rekreacyjny i wyczynowy. Jeśli restauracja — to oprócz wódki można także potaćczyć i zjeść. Jeśli park, to oprócz ławek — place zabaw dziecięcych. I tak dalej, i tak dalej.

racja — to oprócz wódki można także potaćczyć i zjeść. Jeśli park, to oprócz ławek — place zabaw dziecięcych. I tak dalej, i tak dalej.

Czterdziestoparoletni mężczyzna, nauczyciel, rozsnuwa przede mną ciekawą teorię:

— Złe, że Warszawa tak blisko. Ci, co mają potrzeby kulturalne wyższego rzędu, wsiadają sobie raz, dwa razy w tygodniu w pociąg, i w pół godziny później mogą być w najlepszym teatrze, na najciekawszym filmie, wernisażu czy innym widowisku. Mogą się tam ubrać, ostrzyć, wykapać (jak kto w domu nie ma łazienki), zaopatrzyć w żywność i w o-góle...

Słowem — wszystkiemu winna bliskość stolicy.

Stucham tego z przymrużonym okiem. Jednym złe, że Warszawa blisko, drugim że daleko. Jedni i drudzy odwołują się do metropolii, zamiast poświęcić trochę szerszej uwagi i troski swojemu własnemu podwórku.

Wieloletni dziennikarz, autor wielu publikacji w prasie i na scenie, Andrzej Makowiecki.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## PROBLEMY

# WYGRAĆ DLA ŻYRARDOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

Revolucji 1905 roku, gdzie pracuje 5 tys. osób. Poza tym: Żyrardowskie Zakłady Tkanin Technicznych, ZPDz, „Stella” ZPO „Poldress”, zakłady garbarskie, spirytusowe, remontu obrabiarek, spółdzielczość, handel, usługi. W Żyrardowie ma swoją siedzibę Centralne Laboratorium Przemysłu Lniarskiego, ale wszystkie spotkania, konferencje techniczne i inne narady, które takie laboratorium powinno organizować — odbywają się najczęściej na... Dolnym Śląsku. Dlaczego? Tu właśnie od razu wchodzimy w gąszcz żyrardowskich paradoksów.

1.

Centralne Laboratorium Przemysłu Lniarskiego, modernizujący się i rozbudowujący się przemysł powoduje, że w Żyrardowie musi być ruch, muszą przejeżdżać tu ludzie z różnych stron kraju a czasem i z zagranicy. A więc rozumując logicznie Żyrardów powinien mieć dobry hotel i dobrą gastronomię. Jest inaczej.

Przy torze kolarskim jest hotel na dwadzieścia i kilka miejsc, który po sezonie kolarskim spełnia rolę hotelu miejskiego. Dla załóg przedsiębiorstw budowlanych stawia się lekki hotel robotniczy z prefabrykatów, który — jak mają nadzieję władze miasta — pozostanie i będzie w najbliższej przyszłości spełniał również rolę hotelu miejskiego.

Czy hotel z prawdziwego zdarzenia jest potrzebny? Tak. Nikt co do tego nie ma wątpliwości, ale kiedy przychodzi do dzielenia i tak ograniczonych możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw budowlanych, wtedy z czegoś trzeba zrezygnować. Rezygnuje się z hotelu i — nie ma na to rady. Człowiek przyjezdny chce i musi również coś zjeść. Czy Żyrardów ma właściwie rozwiniętą gastronomię?

Też — niestety — nie. Dwie restauracje: „Przystanek” i „Dworcowa” — jak mówią w Żyrardowie — to zaledwie minigastroonomia, a niektórzy dodają, że teraz w gminach buduje się lepsze restauracje.

Miasta ocenia się najczęściej na pierwszy rzut oka i bardzo powierzchownie. Nie ma gdzie zjeść, gdzie zatrzymać się, gdzie napić się czegoś, zabawić, odpocząć — to liche miasto. I takie wrażenie zostaje, zostaje taka opinia. Ale czy wszystko w niej jest o mieście zawarte? Jaka jest w takiej opinii prawda o życiu 34,5 tys. ludzi?

Do czerwca 1975 roku Żyrardów leżał na skraju województwa warszawskiego. Teraz leży na skraju województwa skierniewickiego. Można do tych faktów nie przywiązywać żadnego znaczenia, ale one mają swój wpływ na życie miasta. Żyrardów leży niedaleko Warszawy. Samochemem do stolicy jedzie się 30 minut, pociągiem — 53 minuty. Można ten fakt lekceważyć, ale przecież wywiera on jakiś wpływ na życie miasta.

2.

Z Prezydentem Miasta Żyrardowa PIOTREM NOWAKIEWICZEM rozmawiałem dość długo. Chciałbym tu odwołać tylko fragment tej rozmowy.

— Żyrardów — mówi Piotr Nowakiewicz — przypomina trochę obwarunek. Dookoła nowe osiedle, w środku stare centrum. W tych nowych osiedlach mieszka już około 40 proc. żyrardowian. I będzie mieszkać coraz więcej, ale ten proces przebudowy miasta odbywa się wolniej niż chcielibyśmy. Chronimy na przykład w tej chwili centrum. Nie pozwalamy w nim nic budować dlatego, że chcemy, aby zmieniło się ono zgodnie z programem, który opracowaliśmy i aby było to już centrum w pełni nowoczesne, godne początku XXI wieku.  
— Na przeszkodzie — można się

domyślić — stoi, jak to zwykle bywa brak możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw budowlanych.

— Istotnie. Nie posiadaliśmy i nie posiadamy nadal własnego przedsiębiorstwa budowlanego. Po reformie administracji Rawsko-Koluszkowskie Przedsiębiorstwo Budowlane przenosi się do Skierniewic i ono będzie obsługiwało również Żyrardów.

— Czy będzie w stanie zaspokoić wszystkie budowlane potrzeby miasta?

— Nie sądzę. Aby zaspokoić wszystkie potrzeby przedsiębiorstwa to musiałoby skierować do Żyrardowa cały swój potencjał budowlany. A jest to niemożliwe.

— Żyrardów posiada własną „fabrykę domów”.

— Jest w Żyrardowie taka fabryka, ale pracuje ona nie tylko na potrzeby miasta.

— Czy w Żyrardowie powstanie oddział wojewódzkiego przedsiębiorstwa budowlanego ze Skierniewic?

— Nie, tylko kierownictwo budowy. Postulujemy, aby w oparciu o „fabrykę domów” i inne przedsiębiorstwa budowlane, które tu będą działać czy już działają, stworzyć taki system organizacyjny, który pozwoliłby pełniej wykorzystywać możliwości produkcyjne tych wszystkich przedsiębiorstw. Pozwoliłoby to wykorzystywać istniejące rezerwy w budownictwie i nadrobić opóźnienia.

— Jak wielkie są te opóźnienia?

— Opóźnione jest centrum handlowo-usługowe. W budownictwie mieszkaniowym wybudowaliśmy mniej o prawie 400 mieszkań.

— Ile rocznie budujecie mieszkań?

— W tym roku chcemy wybudować 330 mieszkań.

— A więc w budownictwie mieszkaniowym opóźnienia są większe niż roczny plan budowy mieszkań. Ile osób czeka obecnie na mieszkania?

— W Żyrardowie zarejestrowanych jest 5 tys. członków czekających na mieszkanie.

— Jaka jest szansa nadrobienia opóźnień?

— Liczymy na to, że przedsiębiorstwo budowlane ze Skierniewic w niedługim czasie podwoi swoją moc produkcyjną. Wtedy powstanie możliwość skierowania do Żyrardowa większych ilości ekip budowlanych, większej ilości sprzętu.

— Czy miasto jest na taką ewentualność przygotowane?

— Od dawna. Opracowaliśmy bowiem program rozwoju Żyrardowa. Jesteśmy przygotowani do budowy wielkiej, północnej dzielnicy mieszkaniowej na 20 tys. mieszkańców. Teren jest już urobiony. Mamy dokumentację na budowę centrum usługowo-handlowego. Przygotowani jesteśmy do dalszej rozbudowy dzielnicy przemysłowo-magazynowej. Wszystko, co w tej chwili robimy, staramy się robić zgodnie z założeniami programu. Dążymy do tego, aby każde nasze przedsięwzięcie było realizacją określonego fragmentu tego programu. Nawet wstrzymując jakieś doraźne działania, tymczasowe rozwiązania, działamy w myśl programu, aby nie tworzyć niepotrzebnych przeszkód, nie tworzyć faktów, które odsuwałyby jeszcze bardziej w przyszłość rozwiązania zawarte w programie.

— Grozi to zastarzeniem się dokumentacji.

— Dokumentacja się starzeje. Ale na to nie ma rady. Do tej pory byliśmy w zasięgu zainteresowania Mazowieckiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Budowlanych. Obecnie wypadliśmy z kręgu zainteresowań tego zjednoczenia. Do tej pory obowiązywały pewne perspektywiczne ustalenia. Obecnie trzeba tworzyć nowe. Ale myślę, że lepiej unowocześnić dokumentację niż pójść na tymczasowe rozwiązania, które hamowałyby prawidłową realizację programu rozwoju miasta.

3.

Żyrardów liczy 34,5 tys. mieszkańców. W żyrardowskim przemyśle, spółdzielczości, gospodarce komunalnej i tutejszych instytucjach pracuje blisko 18 tys. ludzi. W Żyrardowie pracuje 92 proc. wszystkich kobiet będących w wieku produkcyjnym. Na

stałe dojeżdża do pracy w mieście 5 tys. osób, plus dwa tysiące — do prac sezonowych. Mniej więcej tyle samo wyjeżdża codziennie z Żyrardowa do pracy. Jeżdżą oni przede wszystkim w kierunku Warszawy.

Przemysł lekki — chociaż nieustannie modernizowany i dysponujący dziś już wysoką techniką — stanowi dla wielu młodych pierwszy etap w zdobyciu kultury technicznej.

— Gdyby nie problem mieszkaniowy — mówi prezydent Piotr Nowakiewicz — nawet nie byłoby potrzeby, aby tyle osób dojeżdżało do Żyrardowa.

Wpłynęłoby to niewątpliwie na stabilizację zatrudnienia w wielu żyrardowskich fabrykach. Żyrardów należy jednak do Warszawskiego Okręgu Przemysłowego, w którym stworzono system wahadłowy: ranne dojazdy do pracy i wieczorne powroty do domu. Ludność Żyrardowa dostosowała się do tego systemu. Wyniknęło to również i z tego, że młodzież kształcąca się w mieście — a uczy się tu 2 tys. młodych ludzi — nie znajduje na miejscu pracy, jako że system przygotowywania kadr sprężnięto z potrzebami WOP. Przygotowuje się tu elektromechaników, elektroników obsługujących maszyny matematyczne. Praca czeka na nich w innych ośrodkach WOP.

Ale z tego faktu wynikają pewne konsekwencje. Jeśli pracuje tu 92 proc. kobiet w wieku produkcyjnym, to rozumiając, że niezbędne są usługi na odpowiednim poziomie. Jednakże opóźnienia, jakie występują w realizacji programu rozwoju Żyrardowa, uniemożliwiają rozwój usług, postawienia ich na poziomie odpowiadającym współczesnym technologiom i potrzebom. W zakładach usługowych Żyrardowa — podobnie jak w wielu innych miastach — prace wykonuje się starymi, chałupniczymi metodami. Ten stan można zmienić, ale wymaga to przedsięwzięć inwestycyjnych. A tu trudność sprawiają nie tyle środki na inwestycje, co możliwości budowlane.

W poprzednim układzie administracyjnym planowano na przykład zbu-

Dalszy ciąg na str. 6

## PROBLEMY

Dalszy ciąg ze str. 5

dowanie wielkiej pralni białej bielizny w Pruszkowie, która obsługiwałaby też Żyrardów. W Żyrardowie byłyby tylko punkty odbioru bielizny. Pruszków jednak obecnie nie jest już zainteresowany taką współpracą. Pralni nie buduje, pruszkowską bieliznę pierze się w Warszawie, a Żyrardów musi myśleć o postawieniu własnej pralni.

Rozbudowa żyrardowskich spółdzielni umożliwiłaby wprowadzenie do działalności usługowej nowoczesnych technologii. Ale w sytuacji, kiedy brakuje potencjału budowlanego, w usługach nadal trzeba będzie pozostać na poziomie chałupnictwa. A ten poziom nie gwarantuje należytego zaspokajania potrzeb. Przeszły jest również handel. Opóźnienia występujące przy realizacji programu przebudowy miasta zadecydowały o tym, że żyrardowski handel pozostaje w ciasnych niewłaściwych pomieszczeniach, że nie ma należytych magazynów, a więc nie

Żyrardów jest miastem znakomicie położonym. Niedaleko Warszawy, w pobliżu ważnych szlaków komunikacyjnych zarówno kolejowych, jak i drogowych. Dysponuje uzbudowanymi terenami. Mogłoby stanowić atrakcyjny teren pod lokowanie różnych instytucji i przedsiębiorstw, które powinny być w pobliżu stolicy, ale które nie muszą znajdować się w stolicy. Jest to — niestety — tylko postulat. Nie przewiduje się bowiem lokowania w Żyrardowie żadnych instytucji i przedsiębiorstw.

Nowy podział administracyjny porozrywał stare układy, zmusił miasto do odwrócenia się od Warszawy i spojżenia w stronę Skierniewic. Ale taka zmiana stworzyła miastu warunki dla samodzielnego życia. Nowy podział administracyjny stworzył szansę na usamodzielnienie w takim stopniu, na jakie pozwalają obecne warunki. Nie jest to jednak przeszkoda trwała. Jeśli miasto bowiem będzie chciało zrealizować swój program,

# WYGRAĆ DLA ŻYRARDOWA

może zapewnić też właściwego zaopatrzenia rynku.

W przemyśle w szybkim tempie dokonują się zmiany, wprowadza się nowe technologie, nowe techniki, poprawiają się warunki pracy. Nowoczesności w miejscu pracy powinna towarzyszyć nowoczesność w miejscu zamieszkania. Żyrardów, który dla części swoich mieszkańców jest tylko miejscem zamieszkania, nie jest jeszcze w stanie zapewnić w pełni nowoczesnych warunków życia.

W Żyrardowie średnia ilość izb w mieszkaniu wynosi 1,8 a decyduje o tym duża stosunkowo liczba mieszkań jednoizbowych. Na jedną izbę przypada tutaj 1,36 osoby. Gaz w mieszkaniu ma zaledwie 3 tys. rodzin, ale jest to już gaz przewodowy i we wszystkich nowo budowanych domach zakłada się instalacje gazowe, które będzie się podłączać do sieci w miarę jej rozbudowy.

a zrealizować go musi, to będzie też zmuszone do przełamania barier i eliminowanie czynników ograniczających jego rozwój. Jednym z takich czynników są niewielkie możliwości produkcyjne budownictwa.

Dawniej Żyrardów leżał na krańcach województwa warszawskiego. Nie było to dobre położenie. Dziś leży na krańcach województwa skierniewickiego. Czy jest to położenie lepsze? Jest niewątpliwie inne. A ta inność polega na tym, że w ramach województwa skierniewickiego Żyrardów — jako największy ośrodek przemysłowy — ma i musi mieć wyższą niż miał dotychczas pozycję. I to daje miastu ogromną szansę. Jest to w tej chwili szansa potencjalna, ale trzeba ją WYGRAĆ DLA ŻYRARDOWA.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



## PLASTYKA

# MURALE CIOCIE TANDETY



Dalszy ciąg ze str. 1

trzebuję. Te dziarskie i osobliwe utwory sztuki reklamowej, pokrywające coraz więcej pustych ścian, prezentują plastyczny model grafiki użytkowej znany z ostatnich stron tygodników ilustrowanych. A więc graficzne wyobrażenie rekwiwitu symbolizującego produkcję lub usługi fundatora, a nadto oblicze lub całą nawet sylwetkę zadowolonego modela — najlepiej pici żeńskiej. Tę gustowną całość wieńczy tekst, na który składa się nazwa przedsiębiorstwa i kilka adresów, jego placówek.

Reklama jest dźwięgnią handlu, ale kiepska to dźwięgnia, która po kilku tygodniach blaknie pod wpływem słońca i deszczu i osuwa się partiami wraz z odpadającym tynkiem. I która też swoim wyglądem kojarzy się ze wszystkim, tylko nie z zachętą do kupowania, korzystania i chwaleńcia usług fundatora reklamy. Percepcja tych wielkich zamalowanych ścian jest taka, że owszem, ludzie je widzą — bo jak tu nie zauważyć takiego przegięcia — ale nie dostrzegają ich funkcji. No, bo czy komuś oglądającemu np. powiększony do ogromnych rozmiarów rysunek żurnalowy na jednym z domów na Dąbrowie, przyjdzie do głowy poszukiwać właśnie odzieży szytej w Spółdzielni im. Lewartowskiego? Albo czy przyszły bywalec łódzkiego „Hortexu”, który zerknie przez szybę w Alei Schillera na przeciwległą ścianę, na której z gigantycznego telewizora wychyla się coś na kształt oblicza Aliny Janowskiej, pobiegnie „w te dyrdy” do najbliższego sklepu ZURT po telewizor? Wielkich badań ankietowych nie przeprowadzałem, ale pytanie postawione kilkunastu przechodniom — do czego zachęca ich gigantyczna ścienna reklama i jakie nadzieje z nią wiążą — kończyło się nieomylnie wzruszeniem ramion. Konkretna funkcja reklamo-

wa naszych „murali”, „leży” więc bez pudła, gdyż i reklamy i interesującej go informacji obywatel szuka w gazecie, w specjalnym informatorze usług, w telewizji, czy też przez telefon, ale nie na ścianach domów. I jest to prawda znana raczej powszechnie.

Może więc chodzi tu tylko o pretekst do udekorowania stosownym malunkiem pustych i dziko wyglądających ścian, aby mogły być bardziej przytulne i znośne dla przechodnia? Byłoby to może i zgodne z naszym wrodzonym — bądź co bądź — zamilowaniem do urozmaicania sobie środowiska, w którym przyszło nam żyć, gdyby nie jeden szkopuł. Otóż ściennie utwory plastyczne prezentują nieomal bez wyjątku wzorce szybkościowej, topornej i szablonowej zupełnie estetyki — liczonej na miarę doraźności i przypadkowości. W połączeniu z pośpiesznym wykonaniem na kiepskim tynku nie najlepszymi farbami, daje to w sumie efekt — trzeba nazwać po imieniu — wielkiej tandety.

Plastyka posiada do spełnienia określonej i wcale nie iluzorycznej rolę wobec społeczeństwa. Ma kształcić je, wychowywać estetycznie, uczyć szacunku do tych treści, które zawiera w sobie i przekazuje dzieło sztuki, w swojej artystycznej formie. Dotyczy to również i sztuki użytkowej, mającej określone użytkowe przeznaczenie. Ale czego może nauczyć wyobrażenie kobiety — monstrum o sadystycznym wyrazie twarzy na bocznej ścianie gmachu PCK przy ul. Piotrkowskiej, czy gigantyczny kalosz na jednej ze ścian przy ul. Zachodniej? Chęć do pracy, pragnienia przeprowadzenia udanych zakupów czy też masochistycznego doznania estetycznego? A jeżeli już jest to tylko reklama, to komu taka forma reklamowania jest potrzebna? Czy rzeczywiście jest to najbardziej racjonalny sposób wykorzystywania funduszy

na reklamę przez przedsiębiorstwa? Funduszy wcale niemałych, skoro każda z takich ścian pochłania kilkadziesiąt tysięcy, a są przedsiębiorstwa, które zafundowały sobie po kilkanaście takich dowodów sojuszu przajszej reklamy z toporną plastyką.

Nie odkrywam tu spraw nieznanych. O tandetnej i doraźnej reklamie, pokrywającej wielkie ściany domów, mówi się u nas od czasu do czasu, ale traktuje się ją jako skromnego mijałka przyozdabiającego — póki co — łyse i smutne jak sto niezszczeń ściany. Ale jeżeli można to zrozumieć w śródmiasteczku warunkach, gdzie po niezbędnych wyburzeniach pokazują się tylne ściany starych czynszówek, których żywot jest policzony, to w nowych świeżo wznoszonych osiedlach, jest to rzecz niezrozumiała. Bo przecież te nowe domy powinny powstać te kilkadziesiąt a może i sto lat. Nie za wiele jest więc wart projekt architektoniczny, który jako jedyny wariant dla pustych ścian widzi owe malowanki reklamowe, spadające wraz z tynkiem po dwóch latach. I nie za wiele wyobraźni tkwi w autorstwie takich alternatyw: albo pusta lisa ściana — albo monstrualna i licha reklama maszyn do zycia.

Spoleczna konieczność i technologiczna właściwość budownictwa uprzemysłowionego typu wielkopłytowego, nie oznacza bezwzględnej wizji świata poprzetykanego pustymi szczytowymi ścianami, które może jedynie wzbogacić łaskawca projektujący i fundujący zgrzebne reklamy, mające żywot dwóch sezonów. Montażowe, elementy wielkopłytowych ścian po stronie elewacji można przecież od razu w trakcie odlewania betonu, pokrywać fakturą w formie pasów, kół, parabol, esów-floresów, fałd itp. Po montażu z takich elementów, boczne ściany domów mają od razu dekoracyjną i zróżnicowaną ornamentykę plaskorzeźbiarską. Jest to standard tani i prosty, który zapobiega jałowej monotonii osiedlowych budowli. Widziałem takie budownictwo we Francji, w Czechosłowacji i na Węgrzech. Nie podnosi to kosztów, a daje poza funkcją użytkową szybkoznoszonych domów mieszkalnych, określoną funkcję estetyczną wielkoprzemysłowej masówki.

Murale — jednostkowo rozwiązywane ściany budynków, są droższe i pracochłonnejsze niż reklamy ściennie, które „odstawia” się w ciągu kilku dni. To fakt. Jest też jednak faktem, że jedno pokrycie ściany dekoracyjną mozaiką ceramiczną, posiadającą charakter trwały, z punktu widzenia estetyki społecznej jest sto razy więcej warte niż dziesięć tandetnych i przypadkowych reklam ściennych. Mogłoby więc zrozumieć dyrektorzy przedsiębiorstw, których kieszeń parzy fundusz reklamowy, że rozdrabnianie tych środków na ściennie malowanki, jest zabiegiem jałowym i nie przynoszącym rzeczywistych efektów dobrej i nowoczesnej reklamy. Czyż więc nie lepiej ufundować trwałą ścianę ceramiczną, mozaikową czy glazurowaną, zaprojektowaną przez prawdziwego artystę i wykonaną w solidnym materiale, który przetrwa kilkadziesiąt lat, niż popierać zmirowaną twórczość szybkościowych reklam? A u dołu artystyczna ściana może być oczywiście zapoznaczona w trwały podpis, że to dzieło sztuki ufundowało na wieczną rzecz pamiętkę takie to i takie przedsiębiorstwo. Wartość reklamowa — może taka sama, ale ileż poważniejsza korzyść estetyczna, wychowawcza, nie mówiąc już o artystycznej. I o ile więcej skorzysta miasto, społeczeństwo i nawet — w jakimś sensie — historia.

Nie są to sprawy tylko łódzkie, bo licha ale nachalna ścienna reklama wypełza na ściany domów w wielu miastach kraju. A wraz z tą manią nalnego reklamowania obraz ulic nabiera rumieńców krzepkiej olejnej tandety, huszczącej się wszelako po jednej chłodniejszej i wilgotniejszej zimie. Nie wydaje mi się, żeby stać nas było na takie wątpliwe zdobienie, które trzeba — niczym groteskową altankę na działce — odświeżać co dwa, trzy lata, aby nie zniknęły te osobliwe „działa” spod znaku Cioci Tandety i Wujka Blichtru.

GUSTAW ROMANOWSKI

# PLASTYKA

ANDRZEJ MAJER

## NEONY NAD MIASTEM

„NEONOWY PROBLEM“ przed dwudziestu, może piętnastu laty objawił się po raz pierwszy jako skutek gwałtownej „pogoni za Europą“ w wielu dziedzinach życia dotkniętych rodzimego chowu kłopotami. Gdy wszędzie już wkroczyły rozjarzone reklamy barów mlecznych i aptek — stały się niemal od razu żelazną pozycją repertuaru satyrycznej drwiny. Psuły się łatwo i skutecznie, przysyłały zamiast informacji zabawne lapsusy i działo się to bez różnicy czy zdobiły pryncypalne arterie, czy spokojne zakątki miast. Neony — ich ilość lub zgola brak — nieformalnie uznano za atrybut „wielkomiastości“, przedmiot ambicji lokalnych patriotów: wątpliwy dowód nowoczesności handlu i gastronomii.

Powoli przywykliśmy do neonów jak do kapryśnej dziewczyny, ale wspomniane kłopoty do dziś ich nie przestają omijać. Estetyczne walory świetlnego oznakowania sieci różnorodnych instytucji i usług nie zaprzatają powszechnej uwagi. Warto więc spojrzeć na kilka aspektów „neonowego problemu“, bo choć należy on do spraw ważnych dla estetyki miasta, był jak dotąd wstydliwie omijany.

W skuteczność kolorowo świecącej reklamy nikt na dobrą sprawę nie wierzy. Zastanawia jednak, jak poważny procent neonów spełnia u nas rolę li tylko prestiżową i jest instalowanych z zapasów inwestycyjnych funduszy szczerą ręką dyrektorów. Wątpliwi, by kosztowny neon nad pudełkowatym budynkiem bazy MZBM, na dodatek położonym w urbanistycznie pustej dzielnicy składów i magazynów (przykład Łódźki) w jakimś stopniu podnosił poziom usług. Problematyczne, by miał ułatwiać drogę błądzącym po nocny klientom, delikwentowi owi i tak trafiają prosto do MZBM-owskich agend w dzień. Przyjęła się i wciąż trwa moda oznajmiania za pomocą neonu istnienia firm tak mało narażonych na konkurencję, jak choćby WODROL — ŁÓDŹ. Wdzięczne pole badań socjologa może stanowić fakt, że najmniej mamy w tej dziedzinie konkretnych w rodzaju: „Najlepsze wyroby Społem“, lecz za to mnóstwo dumnych orzeczników: „POCZTA ŁĄCZNOŚĆ“. Spoglądając na problem poważnie — czy w chwili poszukiwania tak potrzebnych krajowi rezerw nie od rzeczy będzie pytanie, ilu też instytucjom i przedsiębiorstwom (uwzględniając przy tym prosty rachunek ekonomiczny) istotnie potrzebny jest neon? Jakimi w tym kontekście argumentami tłumaczy się reklama erupcja nad otwieraniem właśnie jedynym w Łodzi barem HORTEXU, do którego i tak przychodzić będą tłumy? W jakim stopniu na zyski jedynego w mieście sklepu „Mody Polskiej“ wpływa gigantyczny rząd czerwono-niebieskich jaskółek rozpięty od parteru aż po dach budynku? Nie zamierzam występować przeciw potrzebie prawidłowego oznakowania sklepów czy restauracji. Nie neguję wreszcie sensu instalowania reklam — byłoby czytelny znak istotnie ułatwia orientację klientom, a nie bywał tylko wyróżnikiem.

Można, choć nie bez oporu, zgodzić się, że poszczególne przedsiębiorstwa winny dostarczać obywatelom estetycznych wrażeń również za pomocą neonów. W sytuacji, gdy współczesne osiedla przynębiają monotonią — kolorowe reklamy mogą nieco rozświetlić nasz estetyczny pejzaż. Zbyt rzadkie jest jednak zjawisko równoczesnego, konsekwentnego projektowania reklamy neonowej łącznie z architekturą. Nieliczne próby w tym względzie torpeduje sama rzeczywistość, bo dokumentacja projektowa urbanistyki zwykle wyprzedza znacznie ustalenia programu usług. Neon jest niemal ostatnim

akcentem, jaki w osiedlu się pojawia. A że każda z sąsiadujących w jednym pawilonie firm zleca reklamę innemu projektantowi oraz, że między czynnościami tymi brak jakiegokolwiek korelacji — ostateczny efekt rzadko bywa udany. Na nie nie zda się tu operatywna instytucja Naczelny Plastyka, ingerującego zresztą w tym względzie od niedawna, jeśli potrzeba zmiany sytuacji nie utkwi głęboko w świadomości samych fundatorów reklamy. Jakiegokolwiek żywiołowości i przypadkowości sposobu dłużej tolerować, a Naczelny Plastyk musi zostać wyposażony w prawo egzekucji nie tyle poprawności plastycznej reklamy, co jej zgodności z architekturą i otoczeniem.

Rodzi się potrzeba dyskusji nad neonowym problemem w odpowiednio szerokim, kompetentnym gronie. Jedynie taka płaszczyzna oceny pozwoli na pominięcie (w dobrze pojętym społecznym interesie) subiektywnych upodobań mecenasów reklamy, którym na ogół projektanci wychodzą naprzeciw. Zbyt ważny to problem, byśmy zapominali jak często zaprojektowanie neonu staje się zwykłą chałturą, na której błędy przymyka się dobitnie oko w poczuciu małej szkodliwości. Nie ma potrzeby wskazywania liczących w Łodzi neonowych „knotów“; wiadomo tyle, że pomysłowa reklama neonowa pomaga identyfikowaniu się mieszkańców z urbanistycznym otoczeniem (o czym architekt marzą od dłuższego czasu) a zła — irytuje i z czasem przestaje być w ogóle dostrzegana.

Nie ma recepty na poprawną reklamę świetlną, jest natomiast problem jej zgodności z architekturą. Czytelna treść przekazana za pomocą estetycznej, a nieudziwnionej litery lub znaku, sprowadzenie reklamy do roli służebnej wobec architektury — to niemal wszystko, czego należy się oczekiwać. Funkcjonujący u nas system zatwierdzania i opiniowania projektów reklam nie wykracza poza ogólnie przyjęty schemat. Komisja złożona z ekspertów, często wybitnych fachowców, nie ma praktycznie możliwości oceny czy neon będzie — jak to się mówi — „siedział“ w konkretnej architekturze. Nikt po prostu nie wymaga poważniejszych studiów i przemyśleń. Wydaje się, że na wyniki zdecydowanego zaostrożenia kryteriów i zwiększenia wymagań stawianych projektantom nie trzeba będzie długo czekać.

Jeśli zatem reklama świetlna ma za zadanie dekorację miasta, nie można jej traktować w oderwaniu od najogólniej choćby zarysowanej koncepcji całościowej. Nie chodzi mi o sporządzanie modnych — bo kryje się tu ryzyko groźnej schematyzacji. Wystarczy neony — zwłaszcza te duże, skoro już muszą się pojawiać — rozmieszczać tam, gdzie ich dotychczas brako-

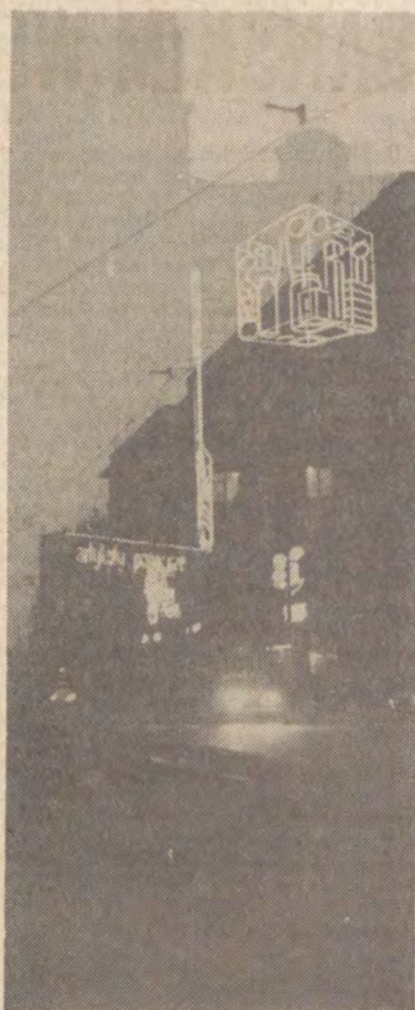


Foto. W. Parys

wało; w miejscach o dobrej widoczności a niezbyt udanej architekturze. Jeśli komuś wnioski takie wydadzą się banalne — wystarczy spojrzeć na nocny pejzaż Łodzi.

Mamy ulicę o znaczeniu wyjątkowym: Piotrkowska, naszą wizytówkę i salon zarazem. Wieczorna Piotrkowska dla niektórych łodzian ciekawsza jest niż dzień, trudno jednak uznać ją za ulicę o prawidłowym rozmieszczeniu reklamy świetlnej — sporo tu bowiem rzeczy przypadkowych, rażąco dużych czy wręcz zbędnych. Ostatnio sklepy przy Piotrkowskiej — modernizując się, stosowane są coraz lepsze materiały i wyższy standard wyposażenia. Wbrew deklaratywnym ustępom Piotrkowska pozostaje nadal handlowym centrum, miejscem swoistej celebracji zakupów. Mimo to trzeba pominąć o chotę prestiżowego wyróżniania kosztownie urządzonej lokali i przyjąć specjalne zasady umieszczania na Piotrkowskiej nowych reklam. Wynika to z faktu, że ulica jest jednym z najmniejszych w skali kraju architektonicznych zespołów zabytkowych. Nie potrzeba traktować Piotrkowskiej jako skansenu, by zgodzić się na daleko posuniętą łagodność ingerencji, i to niemal wyłącznie tam, gdzie będzie to zgodne z historyczną tradycją konfiguracji określonego budynku i miejsca. Piotrkowska jest ulicą wąską, o nierównym skali zabudowy przy równoczesnej ogromnej różnorodności form architektonicznej dekoracji fasad i detali. Jest więc oczywiste, że reklama świetlna nie może z zabytkową estetyką ulicy konkurować — co najwyżej uzupełniać i podkreślać jej walory.

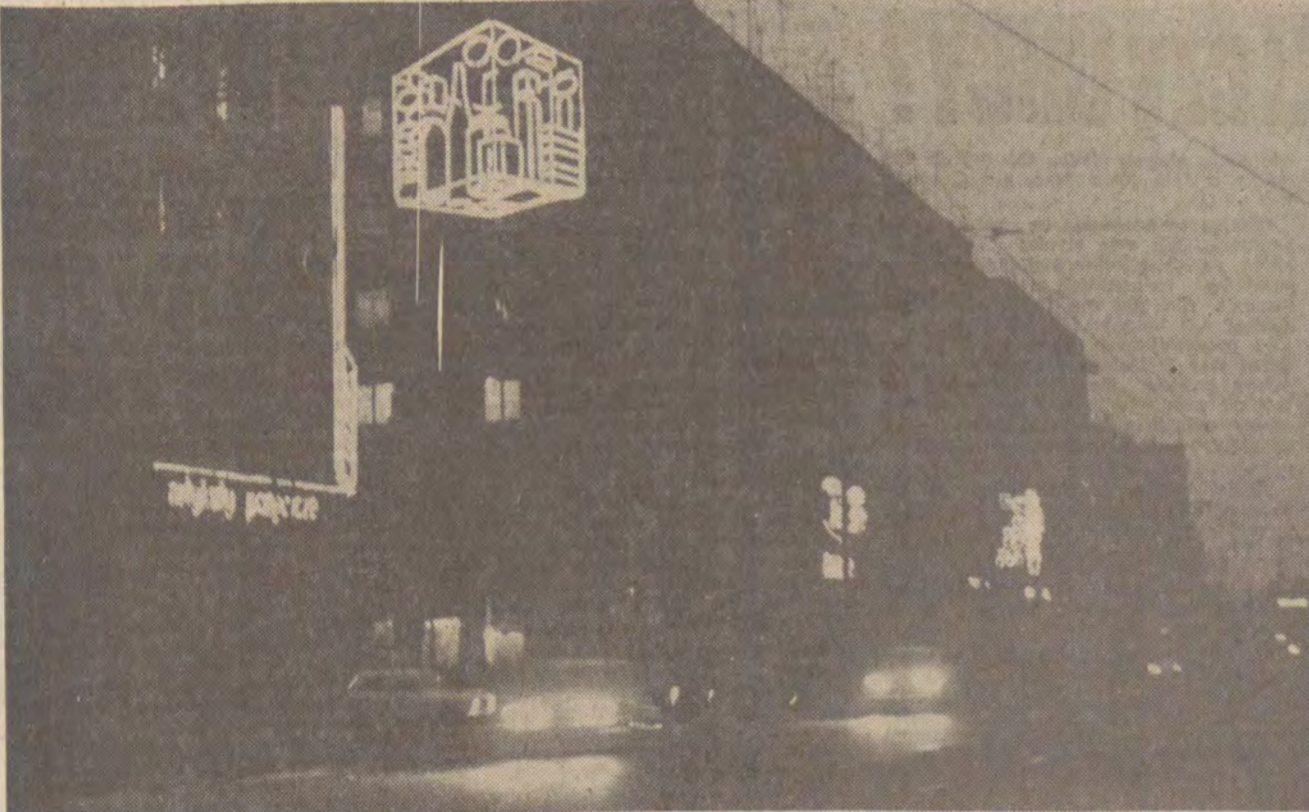


Foto. W. Parys

# FILM

## W ŚRODKU LATA

Film w „W środku lata“ Feliksa Falka reprezentował polską kinematografię na tegorocznym festiwalu w San Remo, stawał się, filmów autorskich. To niezbyt rzeczone i w ogóle niejasne określenie przyjęło się w środowisku filmowym. Ma wyróżniać te filmy, których reżyser jest również autorem scenariusza czyli osobą ponoszącą pełną odpowiedzialność za ideę swego dzieła, najczęściej wyrażoną w konstrukcji fabularnej. A więc Autor a nie tylko ilustrator czy interpretator czyichś myśli czy idei uprzednio mu przedłożonych w tworzywie literackim. Takich „pełnych“ autorów dzieł filmowych mamy w powojennych dziełach naszego kina kilku. Można tu przywołać nazwiska Tadeusza Konwickiego, Grzegorza Królikiewicza, Jerzego Skolimowskiego, Krzysztofa Zanussiiego, można też wspomnieć Jerzego Stefana Stawińskiego czy Aleksandra Scibora-Rylskiego. Jak widać z tego zestawienia Autor Autorowi nierówny. A w ogóle, gdyby serio powyższe kryterium traktować, to na przykład Andrzej Wajda byłby pełnym Autorem tylko jednego swego filmu, tzn. filmu „Wazy“.

Film „W środku lata“, będący pierwszą próbą dużej fabuły tego reżysera, potwierdza pierwsze wrażenia i pozwala sądzić, że tak bardzo w naszym kinie nie owocujący sukcesami gatunek filmu psychologicznego ma jakiegoś szansę rozwoju. Może Krzysztof Zanussi nie będzie już tak samotny, bo, jak dotąd, od czasu, gdy Wojciech Has zajął się wielką klasyką, on jeden z okazji swych dyskursów o postawach i moralności penetrował to, co w człowieku samym.

Z uwag tych sądzić można, że moja prywatna ocena filmu „W środku lata“ będzie bardzo wysoka. Z załem wyznaczył mu, że nowy film autora „Nocelego“ rozczarował mnie. W rozczarowaniu tym są jednak światełka, które pozwoliły wyżej przedstawione nadzieje wyrazić. Czy można rzeczy te pogodzić — chyba tak.

Filmy „Nocelego“ i „W środku lata“ dowodzą, że Feliks Falk posiada rzadko u naszych twórców filmowych, spotykana umiejętność konstruowania sytuacji fabu-

larnej, której dominantą kompozycyjną jest stopniowanie napięcia emocjonalnego. Jest to umiejętność bezcenna przy realizacji filmów zarówno sensacyjnych jak i psychologicznych. W wypadku obu filmów Falka cechy tych gatunków filmowych dają o sobie znać. Już początek obu filmów wprowadza moment oczekiwanego, wimy, że coś stać się musi. Do owego „coś“ wiedzie nas głównie droga obserwacji zachowań, stanów i reakcji postaci. Tak więc element napięcia budowanego samym przebiegiem zdarzeń łączy autor tych filmów ze szczególnym zagęszczeniem samej sytuacji psychologicznej. W swym „Nocelego“ efekt tej metody jest znakomity, w filmie „W środku lata“ zabrakło jeszcze Falkowi umiejętności takiego poprowadzenia narracji, by nie było w niej miejsc pustych, w których przyjęta zasada zastępowana jest uroczym, bo uroczym, ale pełniącej jedynie funkcję ozdobińskich pejzazami.

Przedstawiona w filmie „W środku lata“ historia małżeńskiego kryzysu koncentruje uwagę na postaci kobiety, co samo w sobie jest ewenementem w naszym kinie. Faktem jednak jest, że to opowieść dość banalna, że w samym przebiegu zdarzeń zabrakło elementu niespodzianki i zaskoczenia. Konstatacja ta nie stoi w sprzeczności z tym, co zostało powiedziane wyżej o owej umiejętności budowania stanów napięcia i oczekiwanego. Rozczarowują po prostu rozwiązania poszczególnych sytuacji i całego wreszcie konfliktu. Wydaje mi się, że silniejszą stroną tego utworu jest sama filmowa jego realizacja, a nie, jak sobie wpływ na odbiór literacki. „W środku lata“, tak jak wcześniej „Nocelego“, zawiera jednak wiele dobrych psychologicznie obserwacji, Falk potrafi bowiem przeprowadzić mikroanalizy stanów i zachowań bohaterów. Cenię to sobie bardzo, bo lubię takie filmy i zawsze mi ich brak w polskim kinie.

Przy okazji „Nocelego“ wspominałam o umiejętności pracy z aktorem. Aktorstwem filmu „W środku lata“ nie jest jednak jego silną stroną i być może ma to również wpływ na odbiór ocenę. Nawet tak świetna aktorka, jak Teresa Budzisz-Krzyżanowska nieco zawiodła chyba młodego reżysera. Jest zbyt młoda w swych środkach aktorskich. Jerzy Trela, jak dotąd, większych predyspozycji do aktorstwa filmowego nie przejawia. Zainteresowanie zaś Zbigniewa Chranzowskiego traktować trzeba jako eksperyment.

Na koniec drobna jeszcze uwaga, sądzę, że film „W środku lata“ Feliksa Falka wielu widzom przypomni archywalny debiut sprzed lat — film Romana Polańskiego „Nóż w wodzie“. Nie dlatego tylko, że miejsce akcji skojarzenia te wywoła. Sytuacja fabularna i cel ku któremu ona zmierza, łączy oba te filmy. Oby dla Feliksa Falka film jego był tak samo dojrzały, jak „Nóż w wodzie“ dla Romana Polańskiego. Żywcze tego serdecznie, gdyż czuję, że w osobie Feliksa Falka kino nasze zyskało twórcę ciekawego.

EWA NURCZYŃSKA

# TELEWIZJA

## CZŁOWIEK z KAMERĄ

Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu pisałem o pewnej swoistej właściwości telewizji, która jako środek przekazu niejako z natury rzeczy bezkonfliktowo „trawi“ filmowe konwencje realistyczne, natomiast odrzuca utwory o charakterze bardziej kreacyjnym i stylistycznie wyzującym. I oto kilka dni temu pokazano nam film trafiający w samo sedno tego zagadnienia: „Chłodnym okiem“ Haskella Wexlera. Film ten można było obejrzeć kilka lat temu w kinowym rozpozrecznianiu, ale śmiem twierdzić, że robi on większe wrażenie na ekranie telewizyjnym. Po prostu dokumentalny styl tego utworu pochodzi z telewizyjnej konwencji przekazu takich jak reportaż, kronika, black-out czy poetycka impresja i w telewizji ten typ relacji o rzeczywistości odnajduje się najpełniej.

Mimo tych zalet formalnych stricte „telewizyjny“ film Wexlera nie mógłby — jak można przypuszczać — ukazać się w telewizji amerykańskiej. Bowiem „Chłodnym okiem“ posługując się językiem telewizyjnym jednocześnie prześwietla krytyczną refleksją jego codzienną zawartość, ujawnia światopogląd i moralność ludzi, którzy telewizję tworzą. Tematem tego filmu nie są wbrew pozorom burzliwe zdarzenia polityczne współczesnej Ameryki. One stanowią jedynie tło, na którym pojawia się temat zasadniczy — telewizja a polityka. Jest to problem uniwersalny, ale na gruncie amerykańskim nabiera cech szczególnie wyrazistych.

Dzięki telewizji arena polityczna zbliżyła się na wyciągnięcie ręki do szeregowego człowieka. Jednakże to zbliżenie czy też wkroczenie problematyki politycznej w horyzont codzienności przeciętnego obywatela wcale nie oznacza jego wniknięcia w rzeczywiste mechanizmy działającej się niby na oczach historii. Polityka amerykańska w swoim telewizyjnym wymiarze — a obrazują go najlepiej prezydenckie kampanie wyborcze — ciąży w stronę propagandowego spektaklu, wielkiego rytuału ściśle skodyfikowanych gestów, zachowań i sloganów, w którym aspekt widowiskowy dokładnie przesłania autentyczne starcie programów, postaw, poglądów. Przy tym wszelkie odcinienie opozycji — jak pisze Eric Barnouw w książce „The Image Empire“ poświęconej historii amerykańskiej TV — funkcjonują w ramach tego samego systemu władzy, tworząc starannie zainscenizowaną kłopot bezpoczciństwa dla konfliktowych nastrojów społecznych. Niekiedy zdarza się, że telewizja amerykańska podsyca stan społecznej rewolty, lecz czyni to nieświadomie i przyczyna tego stanu należy upatrywać w nie do końca zbadanym

wplywie, jaki wywiera na społeczeństwo. Oto przykład bezpośrednio korespondujący z wydarzeniami przedstawionymi w „Chłodnym okiem“. W okresie „gorącego lata“ 1968 roku w Chicago transmisje telewizyjne z rozruchów dodatkowo pobudzały temperaturę wrzenia Murzynów i stały się dla nich świetną szansą propagandową. Martin Luther King tak oto ocenił te sytuacje: „Nie mając dostatecznego dostępu do telewizji, publikacji i szerszego forum wypowiedzi Murzyni musieli napisać swoje najbardziej przekonujące artykuły przy pomocy tepego pióra maszerujących szeregów“.

Jednakże Wexlera w „Chłodnym okiem“ nie interesują relacje pomiędzy telewizją a polityką w perspektywie socjologicznej. Zajmuje go przede wszystkim problem, jakie stały się udziałem telewizyjnego reportera jednego z ogromnej armii ludzi tworzących migotliwą zasłonę iluzorycznych obrazów oddzielających społeczeństwo od prawdziwej rzeczywistości. John Ketsalls, bohater „Chłodnym okiem“ jest łowcą sensacji. Film otwiera scena krwawej katastrofy samochodowej, którą operator utrwała na taśmie bez emocjonalnego poruszenia, troszcząc się jedynie o możliwe jak najbardziej brutalny efekt, jego makabryczną wyrazistość. Ostatnia scena jest prawie identyczna — w rozbitym wozie leży konający Ketsalls, a obok stoi inny człowiek z kamerą (nb.: sam Wexler!) i starannie kadruje ujęcia. Między tymi dwoma scenami tworzącymi znaczeniowo-kompozycyjną ramę utworu rozgrywa się ewolucja bohatera, który pod wpływem obserwacji fotografowanych wydarzeń rozpoznaje swoje profesjonalne ubezwłasnowolnienie i staje po stronie zbuntowanych. Decydującym impulsem moralnej przemiany reportera jest odkrycie, że jego materiały są przekazywane policji, aby służyć pomocą w rozpoznawaniu demonstrantów.

Wexler w przenikliwy sposób zwraca uwagę na swoista atrofię moralnych uczuć, która grozi ludziom pracującym w środkach masowego przekazu. Ujawnia również niepokojący kontrast pomiędzy politycznym dramatyzmem społecznym napięciem a moralnym konformizmem jednostek kształtujących publiczną wizję świata. Wreszcie — obnaża powiklane mechanizmy mistyfikacji, jakim ulega rzeczywistość przegładająca się w telewizyjnym ekranie.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

# LISTY

## „CZYBY DUCH HITLERA?”

W związku z notatką ob. Piotra Jedrzejczaka (Szczywno 39) zamieszczonej w nr 13 „Odgłosów” z 25.03.1978 r. tyt. „Czyby duch Hitlera” w sprawie zauważonego braku intraligatury w książce „SS — czarna gwardia Hitlera” uprzejmie wyjaśniam co następuje:

W warunkach dużego zmechanizowania procesów intraligatury przy wykonywaniu ponad 1 mln książek miesięcznie, praktycznie nie mamy możliwości dokonywania kontroli jakościowej każdego poszczególnego egzemplarza książki. Z tych względów kontrolę tę wykonujemy w całości metodą reprezentacyjną sprawdzając tylko określony procent egzemplarzy, ustalony proporcjonalnie do wielkości nakładu. W tych warunkach, co zresztą potwierdza treść wymienionej notatki, istnieje nie dająca się wykluczyć możliwość przedostania się niewielkiej ilości egzemplarzy z wadami technicznymi do obrotu księgarskiego. W takiej sytuacji, choć to nie może nas usprawiedliwiać wobec czytelników, zawsze wymieniamy egzemplarze wadliwe na dobre, zwracając uwagę na to, że wadliwe nie są przez to uniknięte generalizowania opisanego faktu i przydanych mu niefortunnie bardzo przykrej w odbiorze skojarzeń. Czytelnika „Odgłosów” — autora notatki przepraszamy za wyrażoną mu przypadkowo przykrej i wyrażoną gotowość niezwłocznej wymiany wadliwej książki na inną bez wad.

St. NIEDZIELSKI  
(Dyrektor LZ Graficznych)

## „PIESNI SERCU BLISKIE”

Bardzo podobał mi się felieton Widoka o książce „Pieśni sercu bliskie” pana Adrijana. Udało mi się te pozycje kupić i stwierdzam, że jest to rzeczywiście bardzo cenna i potrzebna publikacja — zwłaszcza dla młodzieży. Pan Adrijan napisał opowiadania o pieśniach, naprawdę bliskich sercom wszystkich Polaków. A napisał to tak, że może ta książka zainteresować własnie młodych ludzi.

Jako nauczyciel bardzo się z tej książki cieszę, zdążyłem nawet wykorzystać zawarty w niej materiał na jednej z lekcji historii przed dniem 1. Maja.

Ukazuje się bardzo wiele cennych książek, często umykają one uwadze. Bardzo więc dobrze, że nasz łódzki tygodnik kulturalny propaguje literaturę historyczną mówiącą o przeszłości Polski.

Jan STAWIECKI  
Łódź

## CO Z TĄ BABCIĄ?

Włodzimierz Parys wybrał się na plan, gdzie kręca zdjęcia do filmu „Czerwone ciernie”, będącego ekranizacją powieści Władysława Rymkiewicza „Czas pojedna, trawa porośnie”. W wyniku Parysowej wizyty powstał bardzo ładny fotoreportaż. Bardzo przystojnie wyszedł na zdjęciach Jan Nowicki, którego uwielbiam (jak on robi ten uśmiech?) oraz dorozka, rewolucjonista i mieszkaniec.

Mnie jednakże szczególnie zainteresowały dwie staruszki. Ta, co stoi pod słupem reklamowym, jest mniej interesująca, natomiast druga frapuje jak uśmiech Mony Lizy, bo trzeba ją oglądać ze wszystkich stron, żeby rozważyć zagadkę jej tajemniczej twarzy, skrytej w cieniu pełnego kwiatów kapelusza.

Zastanawiam się, czy jest to statystka, czy gwiazda, której przewróciło się w głowie, czy też fotoreporter robił zdjęcie w szczególnie trudnej pozycji, ponieważ babcia jest odwrócona do góry nogami.

A może ktoś to tak posłuchał, żeby było śmieszniej? Bardzo bym prosiła Redakcję o wyjaśnienie w tej sprawie, bo mój chłopak, który nie grzeszy dowcipem ani inteligencją, twierdzi, że w „Odgłosach” zrobili z babci skarbonkę, czego w ogóle nie rozumiem.

Z poważaniem.

Aldona WAŚ  
Łódź

# SZTUKA LUDOWA



Wycinanki łowickie

# RYNEK

## MEBLE W CYGAŃSKIM WOZIE I PIWNICY

Dalszy ciąg ze str. 1

— Przypuśćmy, czyżby jednak już żadnych meblowych rezerw w tym mieście nie było?

— Rezerwy? No, jeśli już chodzi o rezerwy, to warto by ich poszukać przy Rzgowskiej 2, także poszperać za nimi po biurach.

Ruszyłem więc niezwłocznie w obchód ilus tam stoisk, magazynów składów i sklepików rozrzuconych po wszystkich łódzkich zakątkach. Ten bilans już zrobiłem. Jest wymowny. Liczby przecież nie kłamia. Fakty są nieubiegane. W jednym tylko roku ubiegłym w samej tylko Łodzi sprzedano mebli za 800 milionów złotych. Słyszysz, że w tym roku sprzedaż

meble mocno już są nadgryzione zębem czasu. Sprawnej by teraz trzeba ręki rzemieślniczej by te szafy i kredensy ożyły, nabrały blasku i ukazały całą tkwiącą w nich krasę. Towar w Łodzi jest. Nie ma natomiast meblowych sklepów komisowych. Ten skład przy Rzgowskiej to jedyny tego rodzaju punkt w milionowej już przecież miejskiej aglomeracji.

Starych mebli nie brak. Nie mogą się jednak przepchnąć na rynek wąziutką furtką jednego tylko sklepu komisowego. Zeszły więc w podziemie. Do piwnicy.

A może, jeśli już w kimś wzbiera kupiecka energia, winien podążyć tym tropem do „Desy” przy Piotrkowskiej? Ta szacowna placówka ciesząca się wielkim zainteresowaniem turystów

po drodze z ogniem. Spalili się wóz i salon. Teraz puski, proszę pana, Łódź zresztą nigdy nie miała dobrych artystycznych mebli.

— A fabrykankie pałace? Któż miał stylowe meble za złote carskie imperiały jak nie fabrykanczy noworowsy.

Rozległ się słumiony śmiech.

— Łódzcy fabrykanci? Dajmy już lepiej temu spokój. Oni mieli nosa do pieniędzy, ale nie do dzieł sztuki. Z wyjątkiem może Geyera. Owszem, fabrykanci trzymali w pałacach trochę tandetnej secesji, ale rzeczy naprawdę cennych i unikalnych to nie mieli wcale.

Przypomniałem sobie, że za jedną oryginalną sekretre roboty słynnego Bendersa z carskiego pałacu w Pawłowku zapłacono w tych dniach podczas aukcji u „Christiego” w Londynie 60 000 dolarów. Za jedno tylko biurko wykonane przez francuskiego „ebenistów” z XVIII wieku jeden z tych facetów, co to siedzą na aukcjach i cmią cygara, wyłożył czekiem 415 000 dolarów. Szczyt głupoty? Bo ja wiem. Czy w czasach kiedy wszystko drożeje, kupowanie rzeczy trwałych nie jest aby formą oszczędzania? Ponoć były to petrodolary jednego z arabskich szeków. Co za różnica. Dolar jest wszędzie dolarem. Nie śmierdzi nigdzie.

Co z imitacjami? Co z fałszerzami?

Wiadomo jak sprytnie podrabia się nie tylko genjuszy pędzla i płótna ale też mistrzów hebla, piły i politury. Czy to mało w świecie cwaniaków, którzy nawet z kamienia potrafią wycisnąć pieniądze. Skupują we Frańcji i tych innych krajach stare meble dębowe od chłopów. Rozkładają ogromne szafy na części pierwsze, tu coś przytną, tam przyłożą, ówdzie wstrugają aniolka i mebel gotowy. To Ludwik XVI proszę pana, za jedynę 10 000 dolarów... Spryciarze, oni każda komoda ułoharakteryzują na coś niebywale stylowego. Tak wyglądała politura, że pyłki się nie znajdź.

Pytam więc w „Desie” już raczej z przekory.

— A podrabiane meble, czy nie usiłuje się i takich sztuk powpychać do „Desy”? Ponoć trudno jest nieźmiernie odróżnić meblowy fałszyfikat od meblowego oryginału.

— Nie, nie było jeszcze takiego wypadku. Zdarzał się fałszerze starych sreber, ale podrabiający stylowych mebli nie ma w Łodzi na pewno.

Ciągle mi chodzi po głowie owo krótkie zdanie... za meblami warto by też poszperać po biurach. Coś tu dzwoni, tylko co? Podążyłem w końcu i tym tropem. I pokazało się, że co roku sprzedawano w Łodzi do biur 240 pełnych gabinetów, 50 000 krzesel twardych, 40 000 krzesel tapicerowanych czyli miękkosiedzeniowych, nie mówiąc o samych biurkach i regałach. Wreszcie ten topór spadł i zbóżne biur meblowanie ostro przecięł. Pod koniec ubiegłego roku weszła w życie uchwała, mocą której w biurach ma zostać jak jest. Żadnych nowych zakupów. Żadnych nowych gabinetów. Meble mają trafiać na rynek wyłącznie dla indywidualnych odbiorców.



Przebieganie przez Łódź. W tle: Rzgowska 2. W pierwszym planie: meble z cygańskiego wozu.

przekroczy miliard złotych. Czy wobec tego podać zrówna się z popytem? Nie. Jeszcze nie. Jeszcze trzeba będzie poczekać, aż ruszą te wszystkie nowe fabryki mebli, których budowę właśnie się podejmuje.

A rezerwy? Przypomniałem sobie adres, Rzgowska 2. To pod tym adresem, w jednej z tych ubiegłowiecznych niskich kamieniczek mieści się na parterze skład mebli używanych. Honor pani domowa pełni młoda kobieta. Trzyma ten interes mocno w damskiej dłoni, choć miny zbyt wesołej nie ma.

— Niech pan się wpierv porozgląda — radzi kierowniczka.

Rzeczywiście, nie ma się z czego cieszyć. Składzik to niewielki, zapachy różnorodnym sprzętem. Taka graciarnia, która nastraja melancholijnie i do zakupów nie zachęca. A szkoda. Bo jak się wzrok nieco wyteży, to dojrzy się po zakamarkach meble rzadziej już dziś urodę. Pośrodku salki jaśnieje solidny kredens dębowy, inkrustowany, przeszklony rżniętym misternie szkłem weneckim, masywny, mistrzowskiej doprawdy roboty. A cena? Wszystkiego — 600 zł. Stoją tu łóżka, tapczany, dziecinne kojce i staroświeckie komody. Co za dokładność w robocie. Jaka trwałość wykonania. Mają raczej ci bardziej wytrawni szperacze, trzeba by tu częściej zaglądać. Tyle, że wszystkie te

zagranych, operuje nie tylko w porcelanie, płótnach, srebrze i wisiorach, ale też w meblach. Tych artystycznych, rzecz jasna, tych stylowych, nienagannę roboty. Hm, artystyczne meble, kolbuszowskiej jeszcze roboty, miękkie, inkrustowane o harmonijnym zawsze kształcie i zdumiewającej też lekkości. Wszak nie kto inny tylko stolarze z Kolbuszowej składowali je z kawałków forniru, powlekając je woskiem dla nadania im trwałego połysku. Artystyczne meble... te z Gdańska, w odróżnieniu od kulbuszowskich ciężkie, dwudrzwiowe z zwyżką szafy, bogato rzeźbione, wsparte na pięciu kulistych nogach.

Gdzie one, te meble? Czyżby zostały po nich piękne tylko wspomnienia?

Może coś z takich właśnie mebli kryje zastróżnie przed okiem wścibskich szanowna „Desy” na dalekim zapleczku?

— Ależ, to już historia — słyszę w odpowiedzi — Artystyczne meble? Nie, tego już się u nas nie znajduje. Aktualnie mamy do sprzedania biudermełerską sekretre za 18 tysięcy czy i jeszcze jakiś tam drobiazg. To wszystko. A jeszcze kilkanaście lat temu sprzedawaliśmy w tej „Desie” całe złocone salony w stylu Ludwika XVI. Jeden z najokazalszych kupił Cyganin. Wpakowali salon do wozu, wyjechali w rejs i wszystko poszło

# OBYCZAJE

JERZY WILMAŃSKI

## JĘZYK POLSKI czy OBCY?

Stara anegdota o królewskim trefniu Stajńczyku opowiada, jak łatwo udowodnić, że najwięcej jest lekarzy. Wystarczyło, aby Stajńczyk wyszedł na krakowski rynek z obwiązaną twarzą, a już wokół zgromadził się tłum fachowców radzących najlepsze sposoby na blażeńską dolegliwość.

Przypuszczam, że tą metodą można by i dziś dowiedzieć supremacji różnych zawodów — lekarzy, ekonomistów, a także — a może przede wszystkim — językoznawców. Faktem jest, że posługujemy się polszczyzną bardzo niedbale, a jednocześnie opanowaliśmy parę podstawowych reguł, wszyscy wolamy wielkim głosem o czystości języka.

W dziedzinie czystości języka prawie każdy, kto posiadał wiedzę w zakresie szkoły podstawowej, czuje się ekspertem. A już szczególnie drażnią ludzi wyrazy obce, które do polszczyzny wmaszerowały szeroką ławą. Oczywiście cudzoziemszczyzna nie jest w języku polskim niczym nowym, i wcale się bać nie trzeba tego „ozarnego luda”. Bez obcych zapożyczeń polszczyzna byłaby niezwykle uboga.

A przecież język jest strukturą żywą, przenikają do niego (zwłaszcza do mowy potocznej) różnego rodzaju neologizmy, zapożyczenia, tworzą się w zasobach językowych różne spolszczenia,

adaptacje obcych słów... Oczywiście nie należy z tym przesadzać, ale zjawisko jest faktem.

Czasem te adaptacje są rzeczywiście śmieszne, jak owe słynne „pitabery” użyte na określenie popularnych herbatników francuskich zwanych „petit beurre”. Ale już nie dziwi nas ani koktajl ani longplej. Z wyrazów dawniej przyswojonych polszczyźnie nie dziwi nas łacińska „gehenna”, choć mamy polskie „piekło”, nie dziwi irlandzki „ehuligan”, choć od wieków mamy polskiego zabiłkę, lobuza — i przyjętego od Francuzów — awanturnika.

Myszę zresztą, że przenikanie do języka publikacji prasowych i literackich zwrotów potocznych nie jest niczym dziwnym. Język polski jest bogaty, ale nieraz dotychczasowy odcień znaczeniowy, zawartość emocjonalna znaczonego słowa nie mieści już w sobie nowych wartości.

Na przykład określenie „póki co” jest niewątpliwym rusycyzmem i znaczy tyle co „tymczasem”. Ale jest mniej serio, jest bardziej żartobliwe. Różnica mniej więcej taka, jak między powitaniem „dzień dobry” a „serwis”. Zresztą „serwis” znaczy po łacinie „sługa”. Po polsku można by to przetłumaczyć: „do usług”, ale my owego „serwisu” używa-

my w sytuacjach pewnej poufalości i raczej żartobliwie.

Na takich zapożyczeniach język nie nie traci, przeciwnie — wzbogaca się o słowa zawierające różne znaczenia emocjonalne.

Ow proces wzbogacania języka trwa od setek lat. Przypominam jednak te oczywiste sprawy niejako na marginesie bardzo cennej książeczki, wydanej przez Państwowe Wydawnictwa Naukowe. Autorką jest Halina Rybicka, a tytuł brzmi: „Losy wyrazów obcych w języku polskim”.

Jest to oczywiście rozprawa naukowa, ale czyta się ją jak pasjonującą opowieść. Gdyby nie małeńki nakład, poleciłbym tę książkę wszystkim domorosłym „językoznawcom” i niepowołanym obrocom czystości języka.

Z rozprawy Haliny Rybickiej wynika niezbicie, czym byłby nasz język bez zapożyczeń od Czechów i Rosjan, Niemców i Włochów, a także od Persów, Arabów i Tatarów. Jeżeli dziś oburzamy się na przyswojenie polszczyźnie takich słów jak „dementować”, „branza”, „eksploatacja” czy „inventaryzacja”, to pamiętajmy, że ta sama droga przyszły do Polski słowa, bez których dziś nie wyobrażamy sobie języka — gratulacje, elektrotechnika, ekran, dyrekcja, awans, adres, ironia... Czasu by nie starczyło, żeby wymienić wszystkie pożyteczne słowa.

Przecież z zagranicy przyszedł do nas i obcas i cegła, szpilka, papier, bawelna, spichlerz, belka, śruba, rura... W książce Haliny Rybickiej na bitych 25 stronach druku mieści się... sam tylko spis wyrazów adoptowanych przez polszczyznę z innych języków.

Czy to źle? Czy fakt istnienia w języku polskim dużej liczby wyrazów ob-

Czy wszystko jest już w najlepszym porządku?

O nie, nie jest.

Fabryki mają przecież swoje plany i nadal heblują gabinefy i tapicerskie krzesła biurowe. Taki jest plan? Rezultat? Łódzkie magazyny pękają w szwach. Pełno w nich biurów i gabinetów, które w myśl słusznego zarządzenia do biur i urzędów, nie trafiają. Zalegają jednak składy. Magazyny niesamowicie popuchły. Otóż nie wszystkie fabryki poszły po rozum do głowy i tegoroczny plan przyheblowały do oczywistych potrzeb mieszkańców prefabrykowanych bloków. Wychodzi na to, że planowo można również... błądzić.

Diagnoza jest prosta.

Łódzki rynek choruje na brak mebli. A terapia? Taka na dziś, bez czekania na ruchach nowych fabryk meblowych? Zastrzyki. Tak jest zastrzyki z tych wszystkich mebli, które nie walają się po strychach, piwnicach, które niszczą na zapleczu biur, urzędów i instytucji. Nie chciałbym ferować sądów na gorąco. Opreź się wszakże nie można wrażeń, że dla wzbogacenia rynku warto po te rezerwy, które są osiągnięte wreszcie zdecydowaną dłoń. Tyle jest w Łodzi spółdzielni meblarsko-tapicerskich. Czy chociaż jedna z nich nie powinna zająć się skupem, renowacją i sprzedażą mebli używanych? Tych biurowych także. Z ust ludzi w tych kwestiach oblatanych usłyszałem rzecz zastanawiającą. Podobno po szopach i piwnicach wala się biurowych mebli wartości 300 milionów złotych w samej tylko Łodzi. Biura wciąż od nowa się przecież meblowały. A te stare meble spisywano na straty.

Używane i nowe meble, jak stare i nowe książki, mogą ze sobą idealnie współistnieć i wzajemnie się na rynku uzupełniać. Łódzki rynek jest nieprawdopodobnie chłonny. Ten rynek wchłonie meble starej i nowej roboty. Ten rynek czeka. A rezerwy są. Dum spiro, spero, mawiali starożytni, dopóki oddycham, nie tracę nadziei. Więc kończyć już pełen własnie nadziei, że starłże spółdzielczy wykrzeszą z siebie odpowiednią dozę inicjatywy, a handlowcy nieco przedsiębiorczości.

Bardziej w łacinie biegli mogli by mnie teraz upomnieć, noli turbare aquam, nie mąc wody... no właśnie, zwłaszcza, że wody są spokojne, choć ryb w nich nie ma żadnych.

JAN BABIŃSKI



Przebieganie przez Łódź. W tle: Rzgowska 2. W pierwszym planie: meble z cygańskiego wozu.

cych jest zjawiskiem zagrażającym samodzielnoci polszczyzny? Oczywiście, nie.

Wyrazy zapożyczone docierały do polszczyzny w różnych okresach i z różnymi zabarwieniem znaczeniowym i stylistycznym. Nie wszystkie zachowały się jednakowo — pisze Halina Rybicka — niektóre z nich były w pełni swemu językowi macierzyńskiemu, choć całe życie spędziły „na obczyźnie”. Przeważająca większość jednak asymilowała się, dostosowywała do zwyczajów panujących w nowej ojczyźnie i wkrótce trudno już było odróżnić je od wyrazów rodzimych.

Rygorystyczne zatem oczyszczanie języka z obcych naleciałości jest niemożliwe, nie tylko dlatego, że wiele zapożyczeń oznacza przedmioty i pojęcia nie mające odpowiedników polskich, ale również dlatego, że język jako twór społeczny nie rozwija się w izolacji, lecz w ścisłym powiązaniu z rozwojem cywilizacji, kultury i nauki. A rozwój ten ma w naszych czasach charakter międzynarodowy.

Można i należy walczyć o to, by moda na wyrazy obce nie przybierała zagrażających rozmiarów, ale z góry skazane jest na niepowodzenie wszelkie działania mające na celu wyparcie z języka polskiego powszechnie używanych międzynarodowych.

Wiecej jest to — podobnie jak w innych dziedzinach życia społecznego, naukowego czy kulturalnego — wznoszenie chińskiego muru między nami a innymi narodami Europy; skazywanie się tym samym na zaściankowość, która nigdy, a szczególnie w chwili obecnej, nie jest zjawiskiem pożądanym.

A więc przyjmujemy na obszarze polszczyzny obce wyrazy ze staropolską gościnnością.



## U PRZYJACIOŁ

W ostatnich latach uczyniono znacznie więcej dla ratowania i restauracji zabytków Złotej Pragi, niż uprzednio w ciągu całych dziesięcioleci. M. in. dobiegł końca generalny remont Mostu Karola. W tych dniach Praga otrzymała nową galerię, gromadzącą bezcenne zabytki sztuki. Ponad 450 obrazów i rzeźb, powstałych w okresie od XII do XVIII w. gromadzi ekspozycja w klasztorze św. Jerzego na Zamku Praskim. Wzniesiony w 973 r. należy do najcenniejszych zabytków Czech. Zbudowany w stylu romańskim, po pożarach w latach 1142 i 1541 został odbudowany w stylu gotyckim, po kolejnych przebudowach w XVII w. zachwycał jako świątynia barokowa.

W celu przywrócenia jego dawnego piękna, przeznaczono na konserwację klasztoru 50 mln. koron. Prace trwały 11 lat, w tym 5 lat we wnętrzach, które z pietyzmem odrestaurowano.

★ ★ ★

W maju br. wytwórnia filmów fabularnych „Defa” obchodzić będzie 30-lecie. W tym czasie wytwórnia zrealizowała 447 filmów. Według opinii prof. Alberta Wilkeninga, naczelnego dyrektora „Defy” największy sukces odniosły w NRD filmy „Thaelman”, „Legenda o Pauli”, a za granicą „Mordercy są wśród nas”, „Małżeństwo w cieniu” i „Afera Bluma”.

W ostatnich latach — stwierdza A. Wilkening — wzrasta poziom artystyczny filmów Defy, szerszy jest ich zakres tematyczny. Powstało wiele pozycji, które ze względu na fabułę i walory artystyczne wywołały rezonans, jak np. „To jeszcze nie miłość”, „Miłość szesnastolatki”. Jeśli chodzi o wzajemne stosunki filmotelewidzów, to w NRD nigdy nie były one antagonistyczne. Prawie połowa realizowanych filmów przeznaczona jest dla TV. Często produkuje się dwie wersje dla kin i TV. Ostatnio np. reżyser Egon Günther zrealizował „Cierpienia młodego Werthera” w wersji kinowej i telewizyjnej.

★ ★ ★

Już po raz dziesiąty odbędzie się Wszczężwiakowy Festiwal Poezji Puszkina. Pierwszy odbył się w czerwcu 1967 r. w rodzinnej miejscowości wielkiego poety — Michajłowskoje. Recytacji wierszy w języku rosyjskim i w przekładach na inne języki Kraju Rad słuchało wtedy 150 tysięcy osób. Później imprezy dla uczczenia Puszkina organizowano także w innych miejscach związanych z jego osobą. Tegoroczny jubileuszowy Festiwal trwać będzie od 4 do 9 czerwca. W jego programie znalazły się wieczory, koncerty poetycko-muzyczne i sesje literackie. M. in. konferencja na temat „Puszkina w przekładach na języki narodów ZSRR”. Miłośnicy poezji Puszkina będą się spotykać we wszystkich miejscowościach położonych w okolicach Pskowa i Kalnina (d. Tweru), które odwiedzał nlegdys Aleksander Puszkina.

★ ★ ★

W dramaturgii radzieckiej coraz silniej dochodzi do głosu nowej jakości: przedmiotem zainteresowania twórców w coraz większym stopniu stają się kwestie moralno-etyczne, życie osobiste człowieka. Do takich utworów należy „Władza” Anatola Safronowa, wystawiona na scenie Teatru im. Iwana Franki w Kijowie. Znany radziecki dramaturg stawia w swym utworze pytania: jaki jest kres władzy, czy dyrektor fabryki podejmując decyzje służące postępowi w produkcji ma prawo tracić z oczu sprawy ludzkie?

W Teatrze im. Majakowskiego w Moskwie Aleksiej Arbusow zaprezentował swą najnowszą sztukę „Starmodna komedia”. Jak oceniła krytyka, jedną z najlepszych w dorobku dramaturga. Autor, podobnie jak w swych innych sztukach w „Starmodnej komedii” podejmuje problematykę psychologiczno-obyczajową. Natomiast Oleg Jefremow wystawił na scenie MCHAT dramat Andrieja Kuternickiego „Nina”, ukazujący przeżycia młodej dziewczyny poszukującej wielkiej miłości.

★ ★ ★

Telewizja bułapeńska rozpoczęła emisję serialu „Trzecia granica”, który przedstawił działalność kurierów tatrzańskich podczas ostatniej wojny. W przeddzień rozpoczęcia emisji przed kamerami TV wypowiedzieli się węgierscy publicyści i historycy, uczestnicy dyskusji wskazywali na wiele interesujących epizodów z życia emigracji polskiej na Węgrzech, którzy tutaj znaleźli schronienie i pomoc w przejściu na Zachód. Przypomniano m. in. o istnieniu polskiego gimnazjum w Balatonboglár i fakt, że na Uniwersytecie Budapesteńskim kształciło się w 43 r. ponad 200 Polaków.

Na XXXII genewskiej sesji Komisji Praw Człowieka ONZ rozpatrzono obszerne sprawozdanie specjalnej grupy roboczej Komisji o sytuacji w Chile w okresie od 11 września 1973 roku, tj. od dnia puczu wojskowego. KPCZ ONZ z całą stanowczością potępiła potworne przestępstwa junty chilijskiej, gwałcącej elementarne prawa człowieka. Sprawozdanie to, opracowane na podstawie licznych zeznań naocznych świadków, jak również ofiar faszystowskiego bezprawia oraz innych wiarygodnych dokumentów, pokazuje całą otchłań nieszczęścia, w którą zepchnął naród chilijski Pinochet i jego klika.

Publikujemy fragmenty tego wstrząsającego sprawozdania:

Dane, które zebrała specjalna grupa robocza KPCZ ONZ świadczą, iż represyjne organa junty nie zaprzestały dotąd masowych aresztowań rozpętanym w dniu wojskowego przewrotu. Ludzi aresztuje się w domach, w pracy, w instytucjach naukowych, na ulicach. Zatrzymanym zawiązuje się oczy, rewiduje, bije w obecności członków rodzin i następnie w samochodach bez znaków rejestracyjnych przewozi się do więzień i katowni.

We wrześniu ub. roku aresztowano 180 tysięcy Chilijszczyków, na okres od kilku godzin do 14 miesięcy i dłużej. Spośród tej liczby uwięzionych przed sądem postawiono zaledwie 2 tysiące aresztowanych, którym odebrano nawet prawo do obrony. Część zupełnie niewinnych ludzi przesiedlano w więzieniach i obozach koncentracyjnych cały rok, a następnie, z powodu braku jakichkolwiek poszlak, została zwolniona.

Inne dane przedłożone grupie roboczej Komisji przez Światową Radę Kościółów także świadczą o panującym w kraju bezprawiu. Według relacji tej Rady, od 11 września 1973 roku tylko w jednej prowincji — Santiago „zaginięło bez wieści” — dwa tysiące Chilijszczyków. Około 50 tysięcy musiło uciekać z ojczyzny, żeby uniknąć przesładowań z motywów politycznych. Grupa robocza dysponuje dowodami, które świadczą, iż wbrew zapewnieniom chilijskich władz wojskowych w całym kraju poddaje się więźniów okrutnym torturom, którym towarzyszy znęcanie się uwiaczające godności ludzkiej.

Największą odpowiedzialność za te zbrodnie spada na Państwowy Urząd Wywiadowy i wywiadowczą służbę lotnictwa wojskowego. Chcąc wymusić tzw. „przynajmniej się do winy”, uciekają się one do tortur i represji, których dokonuje się nie tylko w więzieniach i obozach koncentracyjnych, lecz także w koszarach, lokalach akademii wojskowych, szpitalach. Między wieloma innymi istnieje katownia pod nazwą „Dom seksu”. W podziemiach

tego luksusowego budynku, zdołanego marmurem, torturuje się prądem elektrycznym, a na drugim piętrze gwałci aresztowane kobiety. W całym domu przez okragłą dobę grzmi muzyka, zagłuszająca jęki ofiar faszystowskiego rozpasania.

Z dokumentów będących w posiadaniu grupy roboczej Komisji PCZ ONZ wynika, iż do najczęściej stosowanych rodzajów tortur należą:

- zakopywanie pod szyję do ziemi; głowa ofiary pozostaje wystawiona na palące promienie słońca;
- ofiarę umieszcza się w beczce, którą ustawia się na szczycie wzniesienia i stacza w dół;
- „Telefon” — dwaj oprawcy ude-

obawie przed narażeniem na represje ich rodzin i bliskich:

Młoda dziewczynę trzymano w celi 30 dni. Podczas śledztwa rozbierano ją do naga, rzucano na podłogę, bito. Trwało to dotąd, aż traciła siły i nie mogła wstać z podłogi. Wtedy oblewano ją zimną wodą i znów bito, grożąc rozstrzelaniem. Później odprawiono ją do celi. Nazajutrz to samo i na dodatek torturowanie prądem elektrycznym. Prąd przepuszczano przez piersi, ręce, nogi, narządy płciowe. Do patrzenia na znęcanie się nad ofiarą zmuszono małe dziewczynki...

Działacz studencki, który przebywał w więzieniach 14 miesięcy, został wy-

## SYTUACJA W CHILE

# RAPORT KOMISJI PRAW CZŁOWIEKA ONZ

rzają badanego w oboje uszu jednocześnie;

- Wielokrotne zrzucanie ofiary na ziemię z wysokości trzech metrów;
- Rozciąganie rąk i nóg w przeciwnie strony. Były wypadki, kiedy podczas tej tortury usta ofiar wycielano solą.

— Zakutego w kajdanki wrzuca się do studni, a następnie wyciąga. „Operację” tę powtarza się wielokrotnie; — „Platforma” — żelazne łóżko na którym wykonuje się „masaż” — torturowanie prądem elektrycznym;

- Najężdżanie na więźnia samochodem. Najpierw najężdża się na jego stopy, następnie na nogi, a wreszcie na całe ciało. W wyniku obrażeń cieleśnych najczęściej następuje śmierć ofiary;

- Nacnianie ciała brzytwą.
- Przypiekanie prądem elektrycznym otwartych ran.

Ponadto stosuje się tzw. „suchy przysięg”: więźnia umieszcza się w nylonowym worku i trzyma w nim dopóty, dopóki nie zacznie się dusić. Podczas tej tortury zmarło wiele ludzi. W ogóle wielu torturowanych umiera na atak serca.

Grupa robocza Komisji otrzymała także informacje, że podczas torturowania kobiet używa się specjalnie trenowane psy do znęcania się nad ofiarami.

Szeroko stosuje się „psychologiczną presję”: głowę rodziny, czy młodego mężczyźna torturuje się w obecności żony, dzieci, rodziców, narzeczonej, a dzieci — na oczach rodziców.

Oto niektóre świadectwa ofiar tortur (w sprawozdaniu przytoczono ich 27. Nazwisk ofiar nie wymieniono w

puszczony na wolność i wkrótce potem aresztowany ponownie w domu. Zbito go na oczach rodziny. Podczas przesłuchania kazano mu godzinami klęczeć z rękami założonymi na kark. Rozebrano go do naga, umieszczono w mokrym worku i włożono po ziemi. Nieraz bito go aż do utraty przytomności, a następnie do rąk, piersi, narządów płciowych, uszu, stóp oprawcy przemocowywali elektrody i zwiększając napięcie prądu przepuszczali ładunki elektryczne. Później podwieszano go nad kotłem napełnionym wodą i pogrążano w niej wielokrotnie. Szczuto na niego psa. Sadyści oprawcy umieszczali go w metalowym kotle zamykanym pokrywą i kocioł stawali ze stromej pochyłości. Po tej „operacji”, która powodowała szereg ran na całym ciele, znów torturowano go prądem. Ofiarę zawieszano na haku i na długo pozostawiano w takiej pozycji...

Niezamężna studentka złożyła oświadczenie, że została aresztowana w domu o 3-ciej nad ranem przez czterech uzbrojonych mężczyzn w cywilnych ubraniach. Zawieszano jej oczy, zerwano z niej odzież, zrewidowano i zabrano z domu. W więzieniu trzymano ją dwa miesiące. Od razu po aresztowaniu rozpoczęto przesłuchania. Dziesiątki razy torturowano ją prądem elektrycznym. Torturowanie trwało z reguły około 4 godzin. Gwałcono ją wielokrotnie.

Przed uwolnieniem z więzienia ofiarom grozi się śmiercią, ponownym aresztowaniem lub torturowaniem ich dzieci, jeśli powiedzą, jak obchodzono się z nimi w więzieniu czy obozie koncentracyjnym.

Grupa robocza Komisji PCZ ONZ jest głęboko przekonana, iż w najcięższej sytuacji znajdują się chilijskie kobiety i dzieci. Po 11 września 1973 roku dziesiątki tysięcy dzieci zostało sierotami. Ale dzieci cierpią nie tylko dlatego, że ich rodziców wtrąca się do więzień, zabija. W kamatach więzi się je wraz z matkami, lub bez nich i przetrzymuje tam w charakterze zakładników do czasu, aż nie odnajdzie się i nie aresztuje członków ich rodzin. Często dzieci poddaje się torturom, żeby wymusić od nich informacje o rodzicach.

Oprawcami narodu chilijskiego są przede wszystkim oficerowie wszystkich rodzajów sił zbrojnych oraz korpusu karabinierów. Wśród przestępców znajduje się pułkownik Mario Barros Gonsales — naczelnik obozu koncentracyjnego „Texas Verdes”, pułkownik Manuel Contreras, oficer marynarki Oriosto Cuellar, kapitan Jung — dowódca strefy wojskowej, Cautin Herman Ramires i wielu innych oficerów.

Strażnicy w więzieniach, katowniach, obozach koncentracyjnych są w większości żołnierzami i karabinierami. Według zeznań świadków, w noc sylwestrową 1975 roku pijani żołnierze z więzienia „Casa Grimaldi” zgwałcili znajdujące się tam więźniarki. Niemal wszystkich więźniów rozmieszcza się w celach w ten sposób, żeby słyszeć krzyki i jęki ofiar poddawanych torturom.

Grupa robocza Komisji rozporządza mnóstwem dowodów, które świadczą, iż junta posługuje się m.in. specjalnie szkolonymi oprawcami pozostającymi na żołdzie Państwowego Urzędu Wywiadowego i innych organów represji. Także oni ponoszą winę za zabójstwa, gwałty, tortury i nieludzkie traktowanie więźniów.

Junta doprowadziła kraj do katastrofalnej sytuacji gospodarczej. Nieustannie spada produkcja, w niespotykanym tempie rośnie inflacja, bezrobocie, drożyzna. Zarobki robotników starczą zaledwie na zaspokojenie minimalnych potrzeb. Ludność, z wyjątkiem garstki bogaczy, żyje w nędzy. Po zwrocie gwałtownie zmalała pomoc lekarska. Od 11 września 1973 roku cena lekarstw wzrosła o 5 tysięcy procent i osiągnęła taki poziom, iż niezamożni i średniozamożni warstwy społeczeństwa nie są w stanie ich kupować.

Sumując wyniki dotychczasowych rządów sprzedanych generałów, grupa robocza Komisji konkluduje: Tortury stały się zjawiskiem codziennym w kraju, którego władcy rządzą okrutnie niż najędźcy, którzy by podbili wroga terytorium. Junta bez reszty wdepnęła normy humanitarne stosunku do ludzi, przyjętego w międzynarodowych konwencjach. Argument, który wysuwa na usprawiedliwienie swoich zbrodni, że jakoby zmusza ją do tego nacisk „marksistowskiego spisku” przeciwko Chile, nie wytrzymuje krytyki. W Chile rozgrywa się straszliwy dramat społeczny. Międzynarodowa wspólnota nie powinna biernie patrzeć, jak w tym nieszczęśliwym kraju gwałci się elementarne prawa człowieka.

JERZY CZECH

## ZWYCIĘSTWO LEWICY DRAMATYCZNA DEBATA NOWE PROPOZYCJE DOBRE PARTNERSTWO

Wybory parlamentarne w PORTUGALII dostarczyły wiele emocji. Stawką była obrona zdobyczy rewolucyjnych, a podstawowe pytanie sprowadzało się do tego, czy prawica otrzyma takie wsparcie, że będzie mogła zmontować większość. Dziś już wiemy, że problem został rozstrzygnięty przez wyborców na jej niekorzyść. Dwie partie prawicy Centrum Demokratyczno-Społeczne (CDS) oraz Partia Ludowo-Demokratyczna (PPD) uzyskały razem 112 mandatów, podczas gdy lewica: Partia Socjalistyczna (PSP) i Portugalska Partia Komunistyczna (PPK) — 146. Zapowiadany „odwet” po prostu nie udał się. Nie znaczy to jednak, że minęło definitywnie prawicowe niebezpieczeństwo. Teraz siły te chcą jak najbardziej powikłać sytuację powyborczą (przez wywołanie kryzysu rządowego), a później znów zaatakować w związku z wyborami prezydenckimi. Trzeba bowiem w tym miejscu wyjaśnić, że dotychczasowy — szósty tymczasowy — rząd pozostaje u władzy, zgodnie z konstytucją, do czasu powołania nowego prezydenta, co ma nastąpić w czerwcu lub w lipcu. W skład gabinetu wchodzi trzy partie: Socjalistycz-

na, Ludowo-Demokratyczna oraz Komunistyczna. Ta ostatnia znacznie zwiększyła liczbę mandatów, chociaż z różnych stron organizowano na nią nagonkę. Nie odniosła natomiast przewidywanego sukcesu Partia Socjalistyczna, gdyż uzyskała poniżej 35 proc. głosów (przy prognozie powyżej 40 proc.). Wyniki wyborów zarysowują dwie możliwości: albo rządu większości parlamentarnej albo rządu lewicowego. Skonstytuowanie żadnego z nich nie jest możliwe bez komunistów. Zabiegi prawicy polegają natomiast na wyeliminowaniu PPK z udziału w gabiniecie. Portugalia pozostaje więc w kręgu zainteresowań opinii światowej.

Przenieśmy się teraz do WŁOCH, gdzie temperatura polityczna osiąga punkt szczytowy. Jej przyczyną omówiliśmy przed tygodniem, teraz dodajmy, że w czasie dramatycznej debaty parlamentarnej Aldo Moro podjął próby ratowania sytuacji. Socjaliści jednak nie odstąpili od swych żądań rozpisania przedterminowych wyborów. Członek sekretariatu WPK — Pajetta oświadczył natomiast, że z winy chadeckiej nie doszło do postu-

lowanej przez komunistów jednocił sił demokratycznych i wobec tego uznaje obecną kadencję parlamentu za zamkniętą. Tak przez Wołchy wchodzi w nowy okres — z wszystkimi możliwymi implikacjami, na które już Czytelnikom zwracaliśmy uwagę.

Portugalia, Wołchy i Wietnam (z powodu zjednoczonych wyborów) najczęściej ostatnio znajdowały miejsce na łamach prasy. Ale z pola widzenia nie zniknął przecież BLISKI WSCHÓD, w którym to rejonie brak wciąż trwałego pokojowego rozwiązania. Z propozycji pokojowego rozwiązania konfliktu wystąpił znów Związek Radziecki. Pod koniec minionego tygodnia rząd radziecki za pośrednictwem agencji TASS złożył na ten temat oświadczenie, wyrażające przekonanie, iż jest możliwe radykalne polityczne rozwiązanie problemu. Jest ono osiągalne na podstawie trzech elementów: wycofania wojsk izraelskich ze wszystkich okupowanych terytoriów arabskich, zaspokojenia słusznych żądań arabskiego narodu Palestyny oraz zapewnienia międzynarodowych gwarancji bezpieczeństwa i nienaruszalności granic wszystkich państw Bliskiego Wschodu.

Opracowanie odpowiednich porozumień powinno nastąpić na drodze uruchomienia międzynarodowego mechanizmu, specjalnie przeznaczonego do utworzenia, jakim jest konferencja genewska. Dlatego Związek Radziecki opowiada się raz jeszcze za wznowieniem jej prac, które mogłyby mieć dwa etapy. Na pierwszym można by rozwiązać wszystkie kwestie organizacyjne, na drugim — przystą-

pić do meritum sprawy. Przedstawiciele ZSRR gotowi są natychmiast wziąć udział zarówno w przygotowawczej, jak i zasadniczej części tej konferencji.

Czas, jaki minął od zawarcia w ub. roku separatystycznych porozumień, najlepiej udowodnił, że nie mogą one przywrócić pokoju na Bliskim Wschodzie, ponieważ pozostawały na uboczu kluczowe sprawy. Więcej, porozumienia te jeszcze bardziej skomplikowały sytuację. Kto więc z nimi wiązał nadzieje — dziś nie powinien mieć już żadnych złudzeń.

Nie można też pogodzić się z poglądem, że trzeba poczekać — do wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, czy też dojrzania sytuacji do rozwiązania. Czas pogarsza, a nie polepsza warunki trwałego rozstrzygnięcia konfliktu.

Wydarzeniem tygodnia w rozbudowanych stosunkach Polski z innymi krajami była wizyta przewodniczącego Rady Państwa PRL — H. Jabłońskiego w AUSTRII. Dobre partnerstwo naszych krajów nabierze w jej wyniku nowych barw. Jak zauważył H. Jabłoński, Wiedeń i Warszawa stały się synonimami dążeń państw o odmiennych ustrojach do utrwalenia odprężenia, powszechnego bezpieczeństwa i konstruktywnej współpracy. Zajmują one zbieżne stanowiska w sprawie dróg i metod rozwiązywania węzłowych problemów Europy i świata.

W. SŁAWSKI

## SENSACJE

Nadszedł taki czas, w którym kibice sportowi nie będą mogli narzekać na brak nie tylko interesujących widowisk, ale i sensacyjnych wiadomości. Kto do tej pory oglądał w telewizji sprawozdania z meczy tenisowych? Ale spotkanie Wojciecha Fibaka z Ilie Nastase w Sztokholmie oglądali niemal wszyscy, starając się gwałtownie zrozumieć, o co tu chodzi, kiedy i kto zwycięży. I okazało się, że nawet tenis może być interesującym, bał wręcz pasjonującym widowiskiem. Ale spotkanie z Ilie Nastase należy już do przeszłości. Wojciech Fibak zdążył przez ten czas wpisać na swoją listę sukcesów nowe zwycięstwa.

Pamiętam, jakie nie tak dawno „psy wieszano” na tym tenisistce. A za co? Może sobie przypomniał ktoś z tych, którzy dziś wypisują o nim hymny pochwalne. Za to, że zdecydował samodzielnie pracować nad sobą, że wbrew „opiekunom” wyruszył w świat nie tyle po laury, co po naukę. Laury zaczęły przychodzić później, a na początku była ciężka praca. I za tę decyzję miano do niego pretensje. Dopiero sukcesy odniesione w Madrycie i Barcelonie, pokonanie słynnego Artura Ashe złagodziło konflikt z Polskim Związkiem Tenisowym i udobruchało działaczy.

Wojciech Fibak postawił na pracę i ta praca przynosi teraz korzyści. Na ciężką, żmudną pracę przed Olimpiadą postawił teraz kolarze, lekkoatlety, gimnastyki. Już przedolimpijskie sprawozdania przyniosły sensacyjne rezultaty. Padają rekordy świata. Niełatwo będzie walczyć na Olimpiadzie w Montrealu. Zawodnicy wielu dyscyplin zdają sobie z tego sprawę. Nawet faworyci nie mogą być niczego pewni. Do Olimpiady w Montrealu trzeba się dobrze przygotować i trzeba się przygotować na wszystko: na sukces i na porażkę też.

Za kilka dni ruszy kolejny Wyścig Pokoju. W tym roku odbywać się on będzie też pod znakiem przygotowań Olimpijskich. Już dziś można się zastanawiać, czy wszystkie zespoły uczestniczące w tej tradycyjnej imprezie zechcą pokazać wszystkie swoje możliwości przed olimpijskim bojem? Tym nie mniej kolejny Wyścig Pokoju zapowiada się interesująco i może też nam dostarczyć wielu sensacji.

Najmniej sensacji możemy spodziewać się w piłce nożnej. Wprawdzie niektórzy uważali, że w futbolu w Warszawie — w spotkaniu finałowym o Puchar Polski — jest młocięka STAL, ale SLASK skutecznie wyprowadził ich z błędu. Co prawda, dopiero w drugiej połowie meczu, ale to tylko potwierdza moje przekonanie, że w sensacje w piłce nożnej nie ma co liczyć. Nawet sławetna decyzja Kazimierza Górskiego, która nazywano „męską”, „votum nieufności” itp., a która była grubo spóźniona, nie wywołała większej sensacji, bo takiej decyzji należało spodziewać się już od dawna.

Kazimierz Górski, który zawsze podkreślał, że „o miejscu w reprezentacji nie decydują zasługi, lecz aktualna forma”, tym razem musiał tego dowiedzieć. I oto w reprezentacji, która wystąpi przed grecką publicznością w Atenach, nie będą grał Kazimierz Deyna, Andrzej Szarmach, Henryk Kasprzak i Jerzy Gorgoń. Ale to jeszcze nie znaczy, że nie pojedą do Montrealu. Bo — jak pisze Katowicki „Sport” — „Jeśli okaże się w meczach ligowych, że cała czwórka ma ochotę dowiedzieć się o właściwego rozumienia drastycznej dla nich decyzji, nie — zdaniem szefa drużyny narodowej — nie stanie na przeszkodzie, żeby im ponownie zaufała”. Z przykrością chciałabym zawiadomić, że nie podoba mi się takie „zagrywanie” na trochę więcej niż dwa miesiące przed Olimpiadą. Tak okrzykano „męską” decyzją Kazimierza Górskiego może się okazać tylko faktyczna zagrywka w stosunku do byłych gwiazd „srebrnej jedynki”. A tu trzeba naprawdę mieć decyzji, która ległaby u podstaw zupełnie nowego, piłkarskiego zespołu na Olimpiadę.

Wystarczyło popatrzeć na sobotnie spotkanie w Warszawie, gdzie wrocławski SLASK przeciwstawił skutecznie młodzież i bojową rutynę mieleckiej STALI. Młody zespół WISŁY dał do aktualnej kadry piłkarskiej najwięcej, bo 4 zawodników. Rewelacyjne TYCHY i mało do niedawna znany WIDZEY po dwóch zawodników. Z RUCHU i GÓRNIKA nie ma nikogo. Ze STALI Mielec jest wprawdzie dwóch, ale o jednego za dużo — o Grzegorza Łato, który stał się zbyt znany już nawet na ligowych boiskach i który nie umie wyzłazić się spod opieki przeciwników. Wszystko więc wskazuje na to, że od dawna trzeba było postawić na młodych, zając się ich przygotowaniem i „otrzaskaniem” na zagranicznych boiskach. Teraz już trochę zbyt późno na nadrobienie do tej pory popełnionych błędów. I dlatego — w takiej sytuacji — leżenie na byłych zawodników „srebrnej drużyny”, że się jeszcze opamiętają, że wezmą się do roboty, jest tylko mitem i to raczej szkodliwym.

Doskonale wiem, że trzeba być wyrozumiałym, że każdemu trzeba dać szansę i nikogo nie można z góry, bez sprawdzenia przekreślać. Ale Kazimierz Górski niektórym naszym piłkarzom zbyt wiele dał czasu na opamiętanie. Te karty polskiego piłkarstwa czas zamknąć. Otwórzmy nową, aby nie pozostało w tyle za innymi.

BOGDA MADEJ

## ŚLICZNE ZJAWISKO ZWANE TAJEMNICĄ

Stanowczo zbyt mało uwagi poświęcamy wierszom Zbigniewa Kosińskiego. Zbyt mało dlatego, że jest to jeden z najciekawszych poetów współczesnych, lecz i dlatego, że jego twórczość, jak rzadko która, rzeczywiście wymaga wyjątkowo dużo pracy umysłu i wyobraźni, zaufania dla trudu poety.

„Wzroki!”, czwarty tom wierszy, jest w zasadzie obszernym i poszerzonym o wiersze nowe wyborem całej dotychczasowej twórczości Kosińskiego. Jest jednak także czymś zupełnie nowym. Autor przemieszcza wiersze dawne i nowe, wszystkim odebrał tytuły, motta i dedykacje, ujednolicił zapis. Zawsze prowokujący swoją antypoetycznością całość skonstruował wedle klasycznego wzoru rozprawki: wstęp, rozwinięcie i zakończenie.

O antyromantyzmie Kosińskiego pisali już H. Pustkowiński i M. Głowiński. Ostatni tom ujawnia szukanie innych tradycji z całą ostrością. Trudno powiedzieć, że jest to tradycja klasyczna, czego byśmy oczekiwali po poecie opowiadającym się przeciw romantyzmowi. Kosiński tworzy sobie własną tradycję. Zachowuje się jak bricoleur Lévi-Straussa. Buszuje po rupieciarni przeszłości usiłując z resztek i rupieli cywilizacyjnych stworzyć własny mit powołania człowieka, własną konstrukcję jego losu.

Być może najbliższy jest Kosiński lirycy Białoszewskiego. Różnica jest w zasadzie tym, że Białoszewski szuka materiału swoich wierszy w najwzajemniejszym mieszkaniu i na ulicy, natomiast Kosiński rzadziej wychodzi na ulicę penetrując ogromne magazyny i podziemia bibliotek i muzeów.

Warto uprzedzić zarzuty, które można by sformułować przeciw Kosińskiemu — przede wszystkim zarzut nieoryginalności lub nie ujawniania cytowań. Cytacje Kosińskiego są tego samego typu, jak Białoszewskiego. Różnica w tym, że Białoszewski cytuje rozmowy potoczne, Kosiński zdania lub fragmenty zdań z książek. Zarzut ów miałby sens wtedy, gdyby poecie nie udało się tych tak różnorodnych elementów stopić w jedną oryginalną całość, gdyby cytaty pobrzmiewali echemi poetyki autora cytowanego.

Tymczasem wiersze Kosińskiego zalecają się wyjątkowo wyrazistą jednorodnością i zwartością. Wybór wierszy z lat tak przecież różnych niewytłaczalnemu czytelnikowi nie pozwala wnioskować nie o dacie ich powstania. Krytyka zaskakuje świeżością wierszy znanych z tomów wcześniejszych. Lata nie przywołują swojego kontekstu, po-

dobnie jak to się dzieje przy znakomitych przecież turpistycznych wierszach Grochowiaka. Przeciwnie, przydają wierszom Kosińskiego wartości.

Przypomina poeta w swoim antyromantyzmie jeszcze jedną wybitną postać literatury współczesnej, Jorge Lulsa Borgesę. Jak on jest antykwaryczny i intelektualny i w obydwu cechach wyrafinowany. Podobnie zresztą jak u Borgesę w wierszach Kosińskiego w zasadzie nie ma aluzji literackich. Zjawisko dość zaskakujące, gdy zwązamy iż tak często posługuje się cytatem. Rzecz w tym, że cytaty wyrwane ze swego dawnego kontekstu nabiera zupełnie nowych wartości w wierszu poetę. Proces asymilacji cytatu jest tak daleko posunięty, że trudno uchwylić jego istnienie. Trudno tym bardziej zresztą, że Kosiński raczej nie cytuje utworów najbardziej znanych. Taka technika cytowania pozbawia sensowności zarówno rozważania o braku oryginalności wierszy Kosińskiego, mielibyśmy się ona bowiem w zupełnie innej sferze, niż skłoniłoby bylibyśmy myśleć, jak i rozważania o sensie wpływającym z zapożyczeń. Ważna jest jedynie reguła najogólniejsza — poprzez cytowanie Kosiński zmierza do ukazania raczej powstawania ulomnej, ludzkiej, przemijalnej kosmogonii, która zawsze będzie bardzo indywidualnym systemem symboli, znaków, nie stając się nigdy oczywistością dla jakiejś większej grupy ludzi.

Stąd rodzi się Kosińskiego teoria ulomności poezji, gruźliwości języka, dwuznaczności intencji i jej wyrazu, trwałości ulomnego dzieła jednocześnie jako objawu ludzkich wysiłków i jako świadectwa kalectwa języka. Dużo można pisać o swoistej dialektyce kultury w wierszach Kosińskiego. Wzajem pod rozwagę tylko dwa tematy, poezjowania i przeżywania czasu.

Trudno uchronić się przed cytowaniem wspaniałych zdań jego wierszy. Podstawową ich strukturą jest struktura definicji. Obok niej przywołuje formy tak bardzo jej bliskie, jak przypowieść, apokrif, opis retoryczny. Poezję odnajduje Kosiński wszędzie tam, gdzie spodziewalibyśmy się tylko nudy nieaktualnego już dawno fragmentu podręcznika teologii, geografii, biologii, innych nauk dawno już zlecekwawionych przez współczesnych.

„A słowa, które przypadło mi mniejsze posiada znaczenie niż słowo wybrane Poezja jest bowiem jak lud w catości W jakikolwiek sposób przychodził będzie tym samym — światem umiejscowionym

nie ponad poetę ani przez poetę lecz w nim samym  
Głowa poety nie jest zatem pośrednim organem poezji jak głowa Boga nie podlega w granicach przysługującej jej władzy żadnej władzy wyższej”.

Kosiński przypisuje kulturze podobną rolę, jak J. M. Rymkiewicz. Wbrew Norwidowi powie „słowu dajesz / odpowiednią rzecz”. Boviem:

Jeśli zmyślony / w ścisłym znaczeniu / powołał ciebie do rzeczywistości, / jest to stan istniejący natychmiast. / Ponieważ w tym wypadku nie ma już takiej siły, / która mogłaby zniszczyć fakt zmyślenia”.

Opozycyjność, alternatywność, sprzeczność, to żywioły poezji Kosińskiego. Dopiero różnorodność ujawnia istnienie rzeczy: „Gdyby nie wiatr / skąd wiadziałyby że to drzewo”. Także i nakaz uczciwości w poezji prowadzi do sprzeczności:

Im zjawisko bliższe  
tym słowa mroczniejsze

Oczywista jest w tym kontekście definicja poezji:

Poezja sprzeczność pomiędzy ilajkami  
Wiersz kompromisem sprzeczności.

Kiedy przypominamy klasyczną budowę jasnego, definiującego zdania wiersza Kosińskiego i zestawimy je z teoretycznym wyznaniem o kompromisie sprzeczności, ujawnia się jedna z najistotniejszych cech jego twórczości. Wiersz intencjonalnie dąży do jak największej jasności, opisując jednak złożoność nie może się z niej wyplatać.

W Kosińskiego wizji człowieczeństwa dominującym obrazem jest wyrastanie z ziemi, wchodzenie na drogę, rośnięcie. Człowiek bowiem złożony jest z trzech rzeczy logicznie nieuzgadnialnych: „natura mnie podlega / sam jestem naturą / natura jest ponad mną”. Wyściem z tego zakłętego kręgu podległości i nadrzędności jest jedynie negacja poprzez powołanie stery wartości, poprzez kulturę.

Frasesy noszą charakter negatywny kto jednak nie szczeni im zaprzeczeń uniknie błędów będzie mógł chodzić drogą do siebie do innych.

Oczywiście to jest tylko jeden kierunek, któremu Kosiński w innym wierszu zaprzeczy, wskazując na wagę kierunku wręcz przeciwnego. „Drzewo nie zdradza swoich korzeni lecz korona zdradza”. Kosińskiego fascynuje nie tylko problem wierności, ale problem pochodzenia, źródeł, zarówno w ich aspekcie wiążącym nas z przeszłością, jak i odradzającym nas poprzez zrozumienie, jakie daje świadomość początków. Zwierzęcość to fascynacja pierwotnością, autentycznością, istnieniem silnym, mocnym, niekwestionowanym. Ale i jednocześnie obrzydzenie dla brutalności, bezrefleksyjności. Jednak powróć do swoich początków, to w świadomości niskości, z jakiej wyszliśmy znaleźć katharsis.

I nie tylko przeszłość — nie tylko i przyszłość także czasu jest ozdoba.

Ale i z tej przyszłości trzeba nie raz uciekać, by uniknąć przed upadkiem, podłością. Człowiek Kosińskiego jest człowiekiem poszukującym lub uciekającym. Wydaje się nawet czasami, że biegnie po narysowanej przez siebie mapie. Borykając się z naturą nieoczekiwanie dla siebie odnajduje niewidzialną siatkę podmiotów i równoleżników. Gubi się więc podwójnie. Odnajduje siebie jedynie w drodze, w dążeniu. Moralistyczna formuła wielu wierszy Kosińskiego jest drogowskazem, który człowiek szukający drogi sam sobie u stawia. To jest chyba podstawowy dramat wierszy Kosińskiego. Byby on nierozwiązalny całkowicie gdyby nie trzecia osoba, która niewidoczna lecz wyczuwalna, stale towarzyszy w drodze. Jest to artysta, który spogląda na własne fatum podobnie jak bohater wiersza Norwidowego. Fatum przestaje być groźne.

Są tajemnice jeszcze nie odkryte, z rozwojem wiedzy krogami narastające; stanowią one leziro noclechy, także urodę i ślad pokolenia; matryksie się wleza, a tańsze niż światło wielu planet. Źródło źródła, To nie historia, ktoś zawistny powie. A kto ustala daty, opisuje śliczne zjawisko zwane tajemnicą?

JERZY PORADECKI

Zbigniew Kosiński, *Wzroki*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1975, s. 130, cena 18,- zł.

## KTO SIĘ NA KIM MŚCI?

Jak powszechnie wiadomo, pisarze dzielą się na takich, których zapładnia rzeczywistość, oraz takich, którzy szukają inspiracji w literaturze. W przypadku Edwarda Kopczyńskiego jako autora „Zemsta kobry” mamy do czynienia z cennym skontaminowaniem obu tych sposobów. Już popularne nazwiska: Goździk, Jagodziki, Puzderko, Drodziński, Malinka, Mrzonkiewicz, Bambuszko itp. upewniają nas, że pisarz nie buja w obłokach, ale jest wnikliwym obserwatorem tej, a niej innej, rzeczywistości. Ale nawet wówczas, gdy wnikamy w światy takie jak elitarne środowiska myśliwych i wędkarzy, teściarzy i menażerów sztuki, ani na moment nie tracimy z widzenia, że poruszamy się po terenie — aż nadto znanym. Przekonanie nasze bierze się z odkrycia, że autor w gruncie rzeczy okazuje się nie wychodzić poza wątki literackie. Przy czytaniu raz po raz łapiemy się na tym, iż znany punkt od dobrych kilkadziesiąt lat. Tym bardziej więc należy podziwiać upor i szwależerską odwagę, by sytuować pisarskie zainteresowania w kręgu — obrośniętej bogatą tradycją — literatury satyrycznej o teściowej, kelnerach, krajowych snobach, okropnych biurokratach i kochankach nakrętych in flagranti przez męża wracającego z delegacji.

Satyra powinna mieć walor poezji — odkrywczość. Nie może atakować stereotypów rzeczywistości — stereotypami literackimi. W „Zemście kobry” daje się dostrzec troskę autora o paradoksalność spojrzenia. Widac również ołbrzymi trud, aby okazać się paradoksalnym. Tak więc — w pouczającej „Lekcji anatomii” — autor rozprasza nasze nieroztropne złudzenia, że głowa to pojęcie zdecydowanie konkretne. „Otoż GŁOWA jest — dla Kopczyńskiego — pojęciem dość szerokim. Powinna służyć do myślenia, ale może służyć również do kłaniania się. Nikomu to podobno nie zaszkodziło, a wręcz przeciwnie, w wielu wypadkach pomogło. Można również głową przebić mur, jednak nie zawsze się to udaje bez krzywdy dla posiadacza głowy. Głowy bywają różnego kształtu: okrągłe, szostkowe, trapezowe, trójkątne, jajowate, a pod względem reprezentowanej godności: senatorskie, ojcowskie, zbawcze, dumne i dyktatorskie, zwycięskie i czci godne. Pod względem wyposażenia można je podzielić ogólnie na pełne i puste. Na dowód mogą państwu przytoczyć dwa powiedzenia: «ma głowę pustą jak wiodorożnik» — «musisz zginąć, kochana. Boję się, miałem straszny sen, jeszcze teraz cały dygoce. Wybacz mi, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże».

Nie miałem, niestety, sposobności poznać autora osobiście, toteż trudno mi domyślać się, na ile jego własna głowa odpowiada podanym parametrom oraz ma udział w proponowanej klasyfikacji. W szczególności zaś nie wiem, czy należałoby ją zaliczyć do głów: czci godnych, zwycięskich, dyktatorskich i dumnych czy może: zbawczych, ojcowskich bądź senatorskich... Wszelako — przewyżniającą niejakie obawy — ośmielam się twierdzić, że pod względem wyposażenia nie można jej po dejrzać o brak jakiegokolwiek klepki.

Dlatego dobrze się stało, że autor obszedł się z maszynopisem swojej najnowszej książki tak łagodnie, zanosząc zebrane do kupy felietony z gazet do hojnego wydawnictwa, a i wydawnictwo — nie srożej, wydając ją w pięciu tysiącach (+ 249) egzemplarzy. Bo przecież mogłoby się zdarzyć inaczej, że pisarz — tak czuły na podszepty freudowskiej podświadomości podczas snu — postąpiłby jak ze scenariuszem swego telewizyjnego widowiska: „Oudziłem się, zły potem. Wyskoczyłem z łóżka i po ciemku, przewracając krzesło po drodze, rognąłem do drugiego pokoju, gdzie w szufladzie biurka leżała ona, moja «Kobra». Wzięłem ją frzączy rękoma, przez chwilę pieściłem palcami (papier bezdźwięczny, pierwszy gatunek), a potem wpakowałem do pieca. Płonęła, a ja szepotałem zbiełymi wargami: — Musisz zginąć, kochana. Boję się, miałem straszny sen, jeszcze teraz cały dygoce. Wybacz mi, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże».

Szczęśliwy autor „Zemsta kobry”, że znalazł tak możnego protektora (Boga? Wydawnictwo?), który go ostatecznie odwiódł od onirycznego pomysłu spalania rękopisu. Gorzej z czytelnikami. Zemsta „Kobry” na autorze scenariusza polegała na tym, że koszar senny miał spełnienia na jawie. Natomiast to, co dla czytelników mogłoby być obecnie obiecującą jawą, okazuje się — niestety — snem jeno.

ZBIGNIEW DOMINIAK

Edward Kopczyński, „Zemsta kobry”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1976, s. 169, + 3 nb.

## Cudza miłość, cudze cierpienie

Władysław Orłowski dał się już poznać jako publicysta, scenarzysta filmowy i dramaturg, którego sztuka „Jutro Berlin” zdobyła największy swego czasu rozgłos. I teraz, po latach redaktorskiej i literackiej mordęgi nasz autor zdobywa się na powieść „Cudza miłość, cudze cierpienie”. Myślimy: będzie to może powieść o bieciana, na którą czekamy w środowisku naszego miasta długo, że pokazana zostanie w niej szeroka panorama wynurzającej się z dymu Łodzi...

Oczywiście wiemy, że Władysław Orłowski postawił sobie inny cel artystyczny — pokazać komórkę społeczną miasta: kamienicę. Jej żywot i sprawy jakże są ważne w organizmie miasta, które chcemy poznać i ocalić w dziele literackim. Należy mu się pochwała za odwagę podjęcia nowatorskiej formy wypowiedzi prozatorskiej, chociaż w końcowym efekcie okazała się ona pozorna.

Pasma egzystencji bohaterów — Marcjanny, kalekiej dziewczyny, Ewy, aktorki, Ryszarda, emeryta inteligenta, Jana, inżyniera, Karola, robotnika — przenikają się wzajemnie, kierują czytającego w ich zewnętrzny i wewnętrzny świat, stanowiący w pewnym sensie wypadkową sporego fragmentu bytowania ludzkiego w dużym mieście. Tworzą oni zbiór jednostek układający się w zbiorowego bohatera — mówiąca kamienicę. Bez wątpliwości podobać się może ta faktura powieści. Razi natomiast czasami infantylizm postaw, płytkie moralizatorstwo wynikające z obiegowej mądrości, nazywanej ludową, w tym wypadku mającej źródło w życiowych perypetiach bohaterów zlokalizowanych w mieście. Ich język — sugeruje plastycznie autor — jest autentyczny. Czy mogą więc nas zrażać zaprezentowane tu i ówdzie wyrażenia, jak na przykład: „Pupa u aktorki też ważna”, „Kuzynka nie kuzynka, dla ciebie każda dupa dobra”, „A ja... ja ich chromole”. Odbieramy to jako wyraz przeobrażeń kulturalnych spauperyzowanych środowisk artystycznych i mieszczańskich, dla których kultura masowa dużej metropolii jest tem ich codzienną pracą i egzystencją. I przy tym jeszcze jedna uwaga: dialogi powieściowe nieco sztuczne, niezbyt zindywidualizowane. Okazuje się, że Orłowski jest lepszym konstruktorem dramatu, niż — nie bójmy się tak sformułować — socjologiem dialogu.

Obok wspomnianych zjawisk językowych występują w powieści próby intelektualnego włączenia się w problematykę świata, czasu i przestrzeni, miłości i cierpienia. U podstaw tego leży bogate doświadczenie pisarza, umiejętność obserwacji człowieka.

W tym tkwią bezsporne walory książki Orłowskiego. A przecież wśród tych walorów jest jeszcze niebagatelny poznawczy watek obyczajowy. Autor koryzysta także z krzywego zwierciadła, w którym przesuwa przed nami oblicza spraw czwoliczych.

Iluż z nas interesuje życie teatru i jego ciekawych ludzi. Za sprawą Ewy, aktorki, wchodzimy za kulisy najpierw szkoły teatralnej a potem teatru, coż że prowincjonalnego! Potomkowie Tespisa — kłania się Jan Koprowski — nie rodzą się na kamieniach, są żywymi ludźmi i mają swoje prawa, którymi rządzą się w marzeniach i pożądanach natury artystycznej i fizycznej. Orłowski, podobnie jak inni jego poprzednicy, uchyla ten rąbek znanej mu tajemnicy.

Ponadto mamy w powieści rzut oka na sprawy fabryczne, też wszakże interesujące. Widzimy obraz życia różnych grup zawodowych (tkacza, kolejarza, nauczyciela). To, co dzieje się w mieszkaniu inżyniera Jana — dzięki retrospekcji w minionie lata pogardy — każe nam wspomnieć o nucie patriotycznej utworu.

Nad całością dzieła powiewa całun humanizmu, współczucie dla cierpiącego, usłowanie podniesienia go w pogodną przyszłość. Autor zdaje sobie z tego sprawę: „Może to tylko solidarność z cudzym cierpieniem przemawia przez moje mnie?”

Jest więc powieść Orłowskiego — jak kamienica — pulsującym życiem, prostym i ulomnym, zakłamanym i sprawiedliwym. I to życie, przetworzone w księgę literacką, dopomniło się naturalnego ujawnienia. Chociażby i dlatego, że bohater powieści, właśnie owa kamienica, wzniesiona w 1912 roku, poddana będzie nieuchronnej rozbiórce — materialnej i metaforycznej — warto ją było ocalić w pamięci, jako ślad trudów ludzkich i czasu mijającego.

FELIKS RAJCZAK

Władysław Orłowski — *CUDZA MIŁOŚĆ, CUDZE CIERPIENIE*, Wydawnictwo Łódzkie 1976, str. 226, cena 20 zł.

# ZDARZENIA i ZWIERZENIA

## Symbol z kagankiem wiedzy

Dwadzieścia pięć lat działa Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Od ćwierć wieku polska nauka ma rzetelnego i gorliwego propagatora w postaci oficyny wydawniczej, której znak jest symbolem kaganka wiedzy niesionej do milionowych rzeszy czytelników. Nie ma nic przesydlu w określeniu „milionowe rzesze”.

W latach 1951-1975 ukazało się nakładem PWN blisko 30 tysięcy tytułów i blisko 10 tys. numerów czasopism naukowych o łącznej objętości ponad pół miliona arkuszy wydawniczych. W ciągu tych lat Państwowe Wydawnictwo Naukowe zorganizowało warsztaty edytorskie w Warszawie i w czterech oddziałach — Łodzi, Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu. Przypomniał o tych sprawach w referacie na 100-letnim jubileuszu dyrektor oddziału — Jerzy Górczak.

Przypomniał też w swoim wystąpieniu, że w czasie

ćwierćwiecza działalności PWN oficyna ta nawiązała współpracę z 20 tysiącami pracowników nauki. Dwadzieścia tysięcy! To przecież cała armia uczonych! Nic zatem dziwnego, że PWN ma renomę solidnego i rzetelnego propagatora polskiej nauki.

Nie tylko zrzesza polskiej. Oczywiście publikacje PWN są przedmiotem szerokiego eksportu do wszystkich większych ośrodków naukowych na świecie. Ale także wydaje się tu zagraniczne prace naukowe. W latach 1951-1975 ukazało się nakładem PWN blisko 2 tysiące tytułów tłumaczonych z języków obcych: rosyjskiego, angielskiego, francuskiego, niemieckiego. Wydawnictwo w szerokim zakresie udostępnia najwartościowszą zagraniczną literaturę naukową, dydaktyczną i popularnonaukową.

Ale tłumaczy się także prace polskich naukowców. W tzw. koedycji z zagranicznymi

oficynami wydaje się prace naukowe i materiały z sympozjów naukowych. Owe koedycje — oprócz walorów merytorycznych — przynoszą wpływ dewizowe. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat PWN zarobił, jeśli tak rzecz można, na polskiej myśli naukowej około miliona dolarów. W ciągu tych pięciu lat 67 wydawców z 17 krajów zakupiło prawa wydawania prac naukowych PWN.

Czym byłaby nasza wiedza nie wsparta zasobami wiedzy encyklopedycznej? Gdzie szukałobyśmy potrzebnych nam informacji, gdyby nie PWN i jego encyklopedie?

Być może pierwsza edycja WEP nie była do końca udana, ale prace tego zespołu pozwoliły wydawnictwu wykształcić kadre specjalistów w dziedzinie edytorskiej encyklopedycznej i stworzyć odpowiedni warsztat, stanowiący punkt wyjścia dla nowych edycji encyklopedycznych. Ogromna popularnością cieszą się, stale wznowiane, uniwersalne encyklopedie, tzw. mała oraz leksykon PWN. Ukazują się kolejne tomy Encyklopedii Powszechnej, obecnie dociera do księ-

garń tom trzeci, w końcu roku ukaże się ostatni, czwarty tom tej najnowszej współczesnej encyklopedii, w nakładzie sięgającym 500 tys. egzemplarzy. Szacuje się, że liczba użytkowników tej publikacji wynosi około 2,5 mln osób.

A inne, specjalistyczne, encyklopedie? Kultury Antycznej, Muzyki, Techniki, Zdrowia, Fizyki (trzy tomy), słownik biograficzny teatru polskiego, słownik pracowników książki polskiej... Nie ma dziedzin nauki, która nie znalazłaby się w edytorskich planach i realizacji PWN.

Czym byłaby nasza wiedza bez edytorskiego wysiłku ludzi pieczętujących się stylizowanymi w literach PWN — płomieniem nauki? Czym byłaby nasza wiedza bez owego płomienia rozświetlającego ludzką umysł?

Ćwierć wieku edytorskiego, twórczego trudu PWN to święto polskiej nauki.

WIDOK

## LEWYM OKIEM

### FOKI PRZEMYTNICZKI

W początkach siedemnastego wieku holenderski uczynek, uchodzący za twórcę prawa międzynarodowego, Hugo Grotius, sformułował zasadę wolności mórz. Według tej zasady morze należy do wszystkich i do nikogo, każdy może po nim pływać, wozić towary i ludzi, łowić ryby i wiewiórki. Świat był wtedy mimo wszystko młody i o ile prostszy od naszego...

tam ludziom służyła, szerokość tych wód wynosiła około dwóch mil i było znośnie.

No tak, ale armaty strzelają coraz dalej, a dzisiejsze rakiety już w ogóle nie liczą się z odległością. Jednocześnie doszukano się wielkich bogactw naturalnych pod dnem morskim, a postęp techniki umożliwił ich eksploatację. Szybko naftowe wierci się już na wiele kilometrów od brzegu za pośrednictwem sztucznych wysp. Kto wie, co tam jeszcze będzie można spod wody i spode dna wydłubać — lepiej sobie czasami „zabezpieczyć” jak najwięcej tego dna obszaru. Wody przybrzeżne zaczęły się niebezpiecznie rozszerzać i chociaż aktualnie obowiązują konwencja geneńska z 1960 roku określa ich szerokość na 8 do 12 mil, to jednak nikt się z tym zbyt precyzyjnie nie liczy.

wszelkich ludzkich brudów. Siedzie obrzydli się pierwsze i gina masowo. Na Baltyku już ich prawie nie ma, w skali światowej stają się delikatesem. Jeszcze tu i ówdzie ostały się trochę żywniejsze, obfitsze w rybę tereny, a są kraje, których cała gospodarka oparta jest na rybach. Pierwsza Islandia ogłosiła, że konwencja konwencja, a żyć trzeba, że wobec tego wody wołki tej wyspy aż do stu mil od brzegu ogłasza się wodami terytorialnymi, zastrzeżonymi do eksploatacji własnej i ktoś z zewnątrz, chcący tu łowić musi za to zapłacić.

lary za prawo łowienia w tych stronach.

To nie są sprawy abstrakcyjne. Tam łowią także nasze statki, bo tylko tam można jeszcze coś złowić. Duża część złowionej ryby pozostaje na miejscu jako opłata za prawo odłowu, ta część może rosnąć w zależności od chwiejnych koniunktur rynkowych. Ale jeszcze bardziej niepokoić musi pytanie: co będzie dalej? Czy podzielimy obszary wodne całego świata tak samo jak obszary wystające nad wodę, czy postawimy tam wszędzie boje graniczne i będziemy na tych granicach wzajemnie na siebie warczyć? Urządzać odprawy celne i paszportowe na środku Pacyfiku, różnicować co parę kilometrów taryfy i przepisy przewozowe, wadzić się o odpowiedzialność za uszkodzenia, zatonienia, opóźnienia, za źle oświetlone i źle oznaczone trasy.

A jak zabronić dorszom, żeby bez zgody odnośnych władz nie zmieniały obywatelstwa, żeby wogóle nie emigrowały nielegalnie, a foki nie przemyciły cennych swych futer?

CWIEK

## PROPOZYCJE

### CENA WANDALIZMU

Są ludzie, którym szczególną satysfakcją sprawia niszczenie tego, co nie jest ich bezpośrednią własnością, a co należy do nas wszystkich, a więc i do nich również. Kiedyś zdarzyło mi się widzieć w parkowym stawie moknące parkowe ławki. Jako żywo nigdy nie podejrzewałbym nawet, że miejscem ławek może być środek stawu. Ileż potrzeba było energii i pomysłowości, aby je tam umieścić. Te energie i pomysłowość zmarnowano, niszcząc to, co jest naszą wspólną własnością. Nie jest to jedyny — niestety — przykład marnowania energii i pomysłowości oraz marnowania społecznej własności.

Głośny w całym kraju był wyczyn kibiców warszawskiej Legii, którzy jadąc na mecz do Krakowa, urządzili sobie i innym „western w pociągu”. Pociąg był ekspresowy, kibice pili, a pasażerowie przerażeni. Z tymi, którzy próbowali protestować, rozprawiono się szybko. Najwięcej radości budził wśród kibiców warszawskiej Legii pasażerowie z brodami. Obcinano im brody, a gdy protestowali — wystawiano ich... za okno. Pierwsz pasażerowie uciekli z pociągu w Skarżysku. Tu też wstąpił milicjanci i sokiści. Ale nie potrafili dać rady młodocianym, podchmielonym kibicom. Pobili

samochód porysuje, po mordzie naleje. Ale tak dzieje się nie tylko po meczu na stadionie Legii. Zdarzało się i gdzie indziej.

Od utrzymywania porządku i radzenia sobie z takim tłumem jest milicja. Ale przecież szczególnie młodzi lubią demonstrować swój wandalizm nie tylko po meczu. Nudzi im się o różnych porach dnia i nocy, więc chętnie coś przestawiają, syby wybić, kosa na śmiecie zniszczyć, ławkę w parku do stawu wrzucić. I szukaj wiatru w polu. A jak znajdziesz, to kolegium, kara, grzywna. Tylko później za zniszczone mienie płaci społeczeństwo. Mienie jest społeczne, niech więc społeczeństwo płaci.

Kibice warszawskiej Legii zdemolowali wagon. Suma trzywny jaką muszą zapłacić wynosi 99 tys. zł. Podejrzewam, że koszt remontu zdemolowanego wagonu będzie znacznie wyższy. Dlatego za ten remont będą musieli zapłacić spokojni pasażerowie PKP.

Gdyby Jaś Kowalski wybił szybę Janowi Nowakowi, to ten dopilnowałby, aby Jaś Kowalski lub tatuś Jasia Kowalskiego zapłacił za jej wstawienie. W podobny sposób pomyślano we Wrocławiu. Dlaczego społeczeństwo ma płacić za wandalizm chuliganów? I ustanowiono cenę. Proszę porównać ceny, jakie ustanowiono za społeczne szkody we Wrocławiu z grzywnami, jakie otrzymali kibice warszawskiej Legii. Oto za zniszczenie ławki płaci się we Wrocławiu 8 tys. zł. Za zniszczenie drzewa lub krze-

wu w parku — od 6 do 7 tys. zł. Za zniszczenie siedzenia w tramwaju — 3 tys. zł, a za zniszczenie kosza na śmiecie — 4,5 tys. zł. Za uszkodzenie znaku drogowego — 6,2 tys. zł, numeru porządkowego na posesji 3,3 tys. zł, a za zniszczenie wiatru na przystanku tramwajowym lub autobusowym — 40 tys. zł.

Gdyby kibice Legii jechali na mecz ze Śląskiem i wylapano by ich we Wrocławiu, to sądzić, że nie wygaliby się tak „jagodnym wymiarem kary”, ponieśliby karę i musieliby zapłacić za to, co zniszczyli. I słusznie, bo nie widzą żadnego powodu, abym ja i wielu innych, którzy szanujemy nasze wspólne mienie, musieli płacić za wandalizm różnych wyrostków i „niebieskich ptaków”. Uważam również, że fakt iż taki „gagatek” akurat nie pracuje w niczym nie zmienia sytuacji. Przeciwnie, mógłby być okazją, aby odpracować, co zniszczył. Praca u nas nie może i nie powinna być karą, ale też nikomu nie wolno bezkarnie niszczyć cudzej własności, tym bardziej naszej wspólnej.

Bardzo podoba mi się cennik opracowany we Wrocławiu. W Łodzi też jest wielu ludzi, którzy mają wyjątkową przyjemność w niszczeniu tego, co do wszystkich należy. Uważam, że w Łodzi też warto pomyśleć nie tylko o surowym karaniu za wandalizm, ale i o zwracaniu pieniędzy za wyrządzone szkody.

MARCIN RODAK



„PIŁAT”  
Twórczość pisarki Magdy Szabó jest nie tylko znana polskiemu czytelnikowi, ale cieszy się u nas dużą popularnością. Przełożono na język polski jej najlepsze powieści: „Fresk”, „Powiedzieć Zsófi”, „Sarenkę”, „Bal maskowy”. Tylko sam siebie można ośmielić i „Piłata”. Ta ostatnia powieść doczekała się obecnie drugiego wydania z nieco wzmianą adaptacją.

Magda Szabó urodziła się w 1917 roku w Debreczynie, gdzie ukończyła studia filologiczne. Pracowała jako nauczycielka w szkole średniej. Pod koniec lat czterdziestych zaczęła publikować wiersze w czasopiśmie i tak zaczęła się jej kariera literacka. Od roku 1959 zajmuje się tylko pisarstwem.

Czym należy tłumaczyć czysto sukces powieści Magdy Szabó? Chyba przede wszystkim jej umieleności do strzeżenia zwykłych, codziennych spraw przedmiotem człowieka. W problemach i przeżyciach bohaterów powieści Magdy Szabó czytelnik odnajduje własne konflikty, wahań, własne troski i radości.

„Piłat” jest powieścią o konflikcie między dorosłymi dziećmi i starymi rodzicami, o konflikcie, który wynika nie tyle z odmiennych postaw wobec życia, co z braku uczuciowej więzi, egoizmu, formalnie rozumianego obowiązków, niemiętności poznania i wyrozumiałości dla bliskiego nawet człowieka. Temat jest więc uniwersalny, przedstawia sprawy, z którymi jakże często się spotykamy. „Piłat” zmusza do refleksji, do zadumy nad własną postawą, własnym stosunkiem do drugiego człowieka.

Magda Szabó — „Piłat”, przełożyła: O. Wybranowska, PIW, Warszawa 1976, str. 275, cena: zł 25.

### „SPORT W POLSCE”

Coraz bliżej Olimpiada w Montrealu, coraz też większe zainteresowanie kibiców sportowych formą i wynikami, jakie osiągają nasi najlepsi zawodnicy, ci, którzy będą reprezentowali Polskę na XXI Igrzyskach Olimpijskich. Warto jednak, właśnie teraz, przed wielkimi emocjami, przypomnieć sobie, jak to dawniej w polskim sporcie bywało, wrócić do wydarzeń sprzed lat, przypomnieć ówczesnych mistrzów i ich osiągnięcia. Jest po temu doskonała okazja. Ukazała się bowiem książka znanego publicysty sportowego „Sport w Polsce” Stefana Sieniarskiego, zatytułowana „Sport w Polsce”.

Publikacja ta ukazała się równocześnie w języku polskim, angielskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim i rosyjskim, jest więc swego rodzaju wizytówką osiągnięć polskiego sportu w minionym trzydziestolecu. Można jednak przypuszczać, że i polscy czytelnicy sięgną po nią chętnie. Zanim zaczynamy przeżywać olimpijskie zmagania, warto jeszcze raz przeżyć sukcesy, które zapisane są już w historii naszego sportu.

„Sport w Polsce” ukazał się nakładem wydawnictwa „Interpress”, a dodatkową zaletą tej publikacji są liczne czarno-białe i kolorowe zdjęcia.

Stefan Sieniarski — „Sport w Polsce”, Wydawnictwo „Interpress”, Warszawa 1976, str. 202, cena: zł 36.

### „SZCZĘŚLIWA SIÓDEMKA”

„Szczęśliwa siódemka” — to nazwa serii, jaką od niedawna wypuszcza na rynek niezwykle operatywna Krajowa Agencja Wydawnicza. Co zawiera ta seria? Przegląd i sensacje, relacje z podróży, sport, historie, satirki, dzieje myśli ludzkiej, nauki i jej tajemnice. To zestaw tematyczny.

Seria „Szczęśliwa siódemka” wychodzi w kieszonkowym formacie, poszczególne egzemplarze kosztują niewiele, można je czasem nabyć w kioskach. Czasem dlatego, że szybko się rozchodzą. Poszczególne książki tej serii są znakomitą lekturą w podróży, ale nie tylko.

Jedną z książek tej serii było „Siedem sensacji w nauce”. Marka Piużalskiej. Pisze było, bo już od dawna nie można jej nigdzie dostać. A jest to lektura pasjonująca. Marek Piużalski w sposób przystępny omawia kilka osiągnięć światowej nauki: lasery, rozwój astronomii i wnioskowe poznanie otaczającego nas Wszechświata, penetrację mikroświata, nieustanne odkrywanie coraz to nowych możliwości nauki. W końcu nie przypadkiem przyszło nam żyć w dobie rewolucji naukowo-technicznej.

Książkę Marka Piużalskiego „Siedem sensacji w nauce” czyta się z ogromnym zainteresowaniem, napisana jest bowiem przystępnie i atrakcyjnie. A po jej lekturze, człowiek pragnie sięgnąć po inne książki na ten temat, aby szybciej dowiedzieć się jeszcze czegoś interesującego z ogromnych osiągnięć nauki. Nauka może być terenem wielkich zainteresowań każdego z nas, tylko że mało kto umie o tych obszarach ludzkich zainteresowań pisać przystępnie i interesująco.

Krajowej Agencji Wydawniczej należało się pochwały za operatywność i ciekawą inicjatywę. Ale należało się jej też słowa przygany. Wiele wydawnictw wypuszcza na rynek liczne serie. Ale mało które dba o to, aby w każdej książce danej serii poinformować czytelnika, co się już z tej serii ukazało, co się ukazuje, co jest dopiero w przygotowaniu i zatem, czego się czytelnik może spodziewać, czego ma pilnować w księgarniach. Takiej troski nie wykazała też KAW. Poszła utartą drogą lekceważenia czytelnika. Szkoda! Ale myślę, że jest to rzecz do naprawienia przynajmniej w najbliższych tomikach „Szczęśliwej siódemki”.

Marek Piużalski — „Siedem sensacji w nauce”, z serii „Szczęśliwa siódemka”, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa 1976, str. 158, cena: zł 16.

### UROKI STRASZENIA

W serii „Wydawnictwa Literackiego” — „Stanisław Lem poleca” ukazała się kolejna książka. Tym razem są to opowiadania Montague Rhodes Jamesa — „Opowieści starego antykwariusza”.

Czytelnicy przyzwyczaili się już do tego, że jak „Stanisław Lem poleca”, to niewątpliwie będzie to coś o kosmicznych wyprawach, robotach, rakietach. Ale przy książce Montague Rhodes Jamesa czeka nas rozczarowanie. Nie z kosmicznych wypraw. Tytuł książki nie myli. Stary antykwariusz opowiada bowiem nie o kosmicznych wyprawach, ale o zupełnie „ziemskich” duchach, upiorach, wampirach i innych strasznych, które wymyśliła ludzka fantazja. I w tym chyba Stanisław Lem nie zawodził. Polecił lekturę trochę innego rodzaju, ale przecież również fantastyczną.

Wielu polskich czytelników, którzy sięgną po książkę M. R. Jamesa dowiśle z zupełnym zaskoczeniem, że ten angielski pisarz — urodzony w 1862 roku — był poważnym naukowcem, zajmował się archeologią i pełnił nie mniej poważną funkcję dyrektora Muzeum w Cambridge. Właśnie wtedy, kiedy planował stanowisko dyrektorskie, zajął się pisaniem opowieści o duchach. A nobli to znakomicie. Ot, tak sobie, od niechcenia, z przyszłościową angielską flegmą i z przysłowiowym poczuciem angielskiego humoru, który jak wiadomo jest humorem specyficznym. I stało się coś dziwnego — przynajmniej dla samego autora, bo historia piśmiennictwa zna aż nadto takich wypadków — powstała książka M. R. Jamesa poszła w zapomnienie, a do dziś wznawiane są i czytane jego „Opowieści starego antykwariusza”.

Tak więc Stanisław Lem jeszcze raz dowiódł, że można mieć zaufanie do tego, co poleca, bo choć nie o wyprawach kosmicznych, to też równie dobrze. Stanisław Lem z tych książek nie poleca.

B.M.

Montague Rhodes James — „Opowieści starego antykwariusza”, przełożyła: Janina Mroczkowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 234, cena: zł 35.



Foto: Archiwum



Niedawno, bo zaledwie przed dwoma miesiącami, rozpoczął w Łodzi działalność nowy zespół instrumentalno-wokalny. Grupa „Bang!” — bo taką przyjęła nazwę — miała za sobą wówczas prawie trzy miesiące solidnej pracy na próbach, sporo nowych pomysłów oraz własny repertuar, na który złożyły się kompozycje Zbigniewa Brzezińskiego, Jerzego Króla i Mariana Sulezkiego oraz teksty Krzysztofa Drzewieckiego oraz Kazimierza Drobiałka i Andrzeja Kuryliły.

### BOHDAN PIĄTKOWSKI ŚMIERĆ ROMANTYKA

Człowiek ze mnie sentymentalny, niedzisiejszy, można powiedzieć: romantyk, a mimo to całe swoje dotychczasowe życie, wbrew oczywistym skłonnościom, spędziłem w miejskim gwarze, z dala od pól i lasów, do których rwało się serce. Co gorsze, przypadkowo i bez własnej winy, zostałem zawodowym satyrkiem. Nie też dziwnego, że zmuszony siłą przeznaczenia do egzystencji niezgodnej z młodzieńczymi idealami — postanowiłem, po dokonaniu niewesołego żywota humorysty, złożyć swe prochy na samotnym pagórku, koło szumiącego ruczaju, w sieniu olczacej wierzby. Miało to być, tak powiedziałem, okupienie całego życia spędzonego w wielkomiejskim zgiełku i wiecznym pośpiechu. A ponieważ człowiek ze mnie sentymentalny, niedzisiejszy, można powiedzieć: romantyk — chciałem sam zatwierdzić formalności, żeby oszczędzić spadkobiercom zbędnych kłopotów.

Zatelefonowałem więc do osoby najbardziej kompetentnej, aby wyjaśnić, czy wolno mi będzie spocząć w miejscu — przez siebie wybranym. Osobą tą był kierownik kancelarii ementarza. Zapytałem go prosto:

— Czy mógłby mi pan poinformować, co należy zrobić, żeby wolno było złożyć szczątki (wydawało mi się, że sformułowanie to brzmi bardziej urzędowo) poza ementarem?

Obecnie zespół ma już na swym koncie udane „trasy” estradowe, w czasie których program opracowany przez młodych muzyków niezmiennie podobał się publiczności, a także dokonał pierwszych nagrań radiowych. W łódzkim studio zarejestrowane zostały na taśmie trzy piosenki: „Co się stało z tobą”, „Twój pierwszy sukces”, „Gdy przyjdą złe chwile”; można je już usłyszeć na radiowej antenie, a w niedługim czasie „Tonpress” ma wydać dwa nagrania Grupy „Bang!” na singlu.

Jak zatem widać, w krótkim czasie zespół zrobił poważny krok naprzód, w czym nie bez znaczenia był fakt, że wszyscy jego członkowie to muzycy o

dużych możliwościach i równie dużym doświadczeniu. Kierownikiem grupy jest były gitarzysta zespołów „Homo Homini” i „Ktām” — Zbigniew Brzeziński, który gra także na moogiu i skrzypcach. Pozostali członkowie Grupy „Bang!” to: Jerzy Król, grający na puzonie, perkusji i pianie (poprzednio występujący z grupą „Fair” Krzysztofa Krawczyka), Marek Leszczyński — gitarzysta basowy używający też harmonijki ustnej oraz Feliks Pankiewicz, który gra na perkusji i flecie. Solistką grupy jest znana szerokiej publiczności z występów w żeńskim kwartecie wokalmym „Pro Contra” — Elżbieta Jagiełło, która ostatnio współpracowała z „Trubadurami”.

wymagają splantowania bezużytecznych pagórków. Po półgodzinnej wymianie zdań na interesujący mnie temat dowiedziałem się, że prawdziwą krynicę informacji w tym względzie stanowi Wydział Gospodarki Komunalnej.

— Panie kierowniku szanowny — powiedziałem do komunalnego dygnitarza lamaję się głosem. — Niech pan zechce zrozumieć: człowiek ze mnie niedzisiejszy, można powiedzieć: romantyk; całe życie marzyłem o tym, żeby po śmierci spocząć w cieniu wierzby, niech pan mi nie odmawia.

— Dlaczego miałbym odmawiać? — zdumiał się głos. — Proszę wykupić odpowiednią kwaterek na cmentarzu i po przedstawieniu świadectwa zgonu chowaj się, człowieku, nie dusza zamarzy!

— Zlituj się, panie, — skomlałem. — Chcę powietrza, przestrzeni, odrobiny romantyki. Nie wystarczy mi kwaterek z numerem i obmuruwka! Zrezygnowałem z ruczaju i pagórka, poświęć jeszcze i wierzby, ale zostawcie mi choć rozstajne drogi! — żebrałem.

— Nie rozumiem — zimno zauważył głos. — „Ustawa o Chowaniu Zmarłych” wyraźnie precyzuje, że jedynie w czasie klęsk żywiołowych i epidemii dopuszcza się chowanie poza cmentarzem. Czyżby chciał pan zostać ostatnią wolą sprzeczną z odnośnym przepisem?

— Cicho zaskoczyłem i rzuciłem brutalne orzeknięcie. Czulem, że coś się zatamowało i umarł we mnie sentymentalny, niedzisiejszy człowiek, można powiedzieć: romantyk. Qbejdzie się, drań, bez porzębu.

### ŁÓDZCY SIATKARZE W KARYKATURZE

SŁAWOMIRA  
ARABSKIEGO



### W ŁODZI

W dniu 8 maja o godz. 18 w sali Teatru Wielkiego odbędzie się kolejna impreza „Dobry wieczór, tu Łódź” pod nazwą „GDY WIOSNA ZAWROCI NAM W GŁOWIE”. Parada zespołów uprawiających żartobliwy, groteskowy styl produkcji artystycznych zapewni widzom szereg niespodzianek. Wystąpią m. in.: Ewa Bem, Lucyna Owsnińska, Jadwiga Strzelecka, Irena Karel, Krystyna Prońko, Elżbieta Jodłowska, Zofia i Zbigniew Framcerowie, Jacek Lech, grupy wokalne-instrumentalne: „Tropicale Thaiti Granda Banda”, „Dwa Plus Jeden”, Elżbieta Jagiełło i grupa „Bang!”, duet „Tobo” (Bulgaria), „Mortale”, grupa baletowa „Arabska”, Andrzej Plasecki, Tadeusz Drozda, Ryszard Tarasiewicz, Bernard Ładysz, balet TVP, kapela „Dominikańska, Bogdan Łazuka i inni.

O godzinie 20.30 odbędzie się kolejny koncert z cyklu „Dobry wieczór, tu Łódź” pn. „LETNIE NASTROJE”. Będzie to parada czołowych polskich wykonawców takich, jak: Zdzisława Sośnicka, Halina Zytkowiak, Jerzy Połomski, Krzysztof Krawczyk, Sławomir „owalewski”, „Czerwone Gitary”, „Skaldowie”, „Partita”, „Trubadury” oraz przedstawiciele z zagranicy: Emanuel z Nigerii, Nadia Urbankowa i Rudolf Henel z Czechostowacji i innych, którzy prezen-

tować się będą w kalejdoskopie piosenek przy udziale orkiestry pod dyrekcją Henryka Debicha.

Oprawą widowiska będą występy modelek i modeli prezentujących najnowsze tkaniny i kolekcje. Reżyserem programów oraz współtwórcą scenariusza jest Włodzimierz Gawroński, autorem scenografii — Iwo Dobiecki, kierownikiem muzycznym — Janusz Koman, choreografem — zespół w składzie: Marta Bochenek, Barbara Fijewska, Mieczysława Kałnik. Współorganizatorami programu są: Stowarzyszenie Muzyki Estradowej i Estrada Łódźka.

Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, chcąc zapewnić mieszkańcom Łodzi możliwość obejrzenia w szerszym wydaniu produkcji artystycznych zespołu „Tropicale Thaiti Granda Banda” przy udziale grupy wokalne-instrumentalne „Bang!” oraz grupy baletowej „Skał”, organizuje w dniu 9 maja br. w sali Teatru Muzycznego w Łodzi przy ul. Północnej dwa koncerty z udziałem tych zespołów: o godz. 12 i 15.

### W KRAJU...

W dniach 1—4.IV. br. odbył się XIII Studencki Festiwal „Jazz nad Odrą”. Organizatorzy przygotowali kilkunad-

ciokawy maraton muzyczny z udziałem czołowych polskich zespołów jazzowych oraz zagranicznych. Wystąpili m. in.: „Duo Gładkowski — Zgraja”, duo gitar klasycznych Alber — Strobel, zespół „Ossjan”, Marianna Wróblewska, Włodzimierz „ahorny, kwartet Namysłowski, kwartet Muniaka, kwartet Jarczyka, „Mainstream” wraz z Ewą Bem, „Chalturnik”, „Spisek Sześciu”, zespoły jazzu tradycyjnego: „Old Timers”, „Jazz Band Bell”, „Gold Washboard”, „Ninsula River Brass Band”, „Sami Swoi”, itd. W koncercie pn. „Jazz Atlas” wystąpili goście ze Szwecji, Dani, NRD, Kambodży, Meksyku, Jamajki. W dniu 5.IV odbył się finałowy koncert laureatów XIII Festiwalu Muzyki „Jazz nad Odrą”, po którym decyzją jury i nagrodę (dla zespołów występujących w konkursie amatorskich grup jazzowych kraju) — ufundowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznano big-bandowi PWSM z Katowic pod kierunkiem Andrzeja Zubka. Nagrodę II przyznano Wojciechowi Gorolewskiemu z Katowic. Laureatem III nagrody został (tutaj brawa dla jazzmanów łódzkich) kwintet Andrzeja Olejniczaka. Należy podkreślić, że w konkursie udział brało 18 zespołów z całego kraju.

Na festiwalach „Jazz nad Odrą”, „Zaduszki Krakowskie” w latach wcześniejszych z powodzeniem udział brały inne łódzkie popularne w kraju grupy jazzowe: „Tiger Rag”, „Old Jazz Stompers”.

BOGUMIŁ BEDNAREK

NA ESTRADZIE

## NA KAŻDĄ OKAZJĘ

— UBIERZESZ SIĘ MODNIE I ELEGANCKO W SKLEPACH

ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA HANDLU ODZIEŻĄ

„O TEX”

w Łodzi — Pabianicach — Zgierz — Ozorkowie



1735/K